Nr. 62. Lwów. — Piątek dnia 15 marca. Rok 1889.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową:
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się składać z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej nie się przyjmuje.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty z miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują:

Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany) — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Longina męcz. Jutro: Henryki panny.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 22. Zachód „ 5 „ 58.

Długość dnia g. 12 m. 36. Przybyło dnia 2 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 14 marca.

Z otwarciem wiosennej sesji parlamentu niemieckiego — co się wczoraj odbyło — ocknęły się drzemiące przez parę miesięcy stronnicze wachy na harce prasowe organa stronnictw i potykają się ze sobą głównie o ustawy antisocjalistyczne, ale używają przytem broni z różnych arsenałów. Przedewszystkiem potrzeba gadzinowcom przedstawić obóz postępowy jako złożony z „notorycznych zdrajców", których opinja — jakakolwiek ona będzie w sprawie antisocjalistycznych ustaw, — powinna być ignorowana. W tym celu wydobyto na arenę dziennikarskiej walki broszurę jakiegoś bezimiennego autora p. t. *Auch ein Programm aus der neunundneunzig Tagen.* Podług pogłosek, autorem tej książeczki jest udzielny panujący członek Rzeszy, książę Koburski, a więc oczywiście osobistość kompetentna zasługująca na bezwzględną wiarę. Taka to więc osobistość zapewnia, że podczas trzech krótkich miesięcy panowania Fryderyka III istniało na berlińskim dworze wielkie i wpływowe stronnictwo, sprzymierzone z postępowcami, a dążące do zapewnienia przewagi politycznego kierunku i stanowiska Niemiec. Alzacja z Lotaryngją miały być oddane Francji, Brunszwik zaś z powną częścią dawnego królestwa Hanowerskiego miał utworzyć osobne państwo, wchodzące wprawdzie w skład Rzeszy, ale na prawach takich jak np. Bawarja. Na tronie tego nowego państwa zasiadłaby dynastja Welfów, katolików, „notorycznych" wrogów Prus. Po takich zmianach Niemcy przestałyby wprawdzie istniejące sojusze i połączyć się z Anglją wieczystem przymierzem. Cały ten plan wyszedł z łona parlamentarnej opozycji, a protektorów i rzeczników znalazł nietylko w kilku dygnitarzach dworskich, ale nawet w bliższych osobach rodziny cesarza Fryderyka, — oczywiście, domyślać się trzeba, że w cesarzowej-Angielce. Otóż dla tego też ces. Wilhelm II, w pierwszych chwilach po wstąpieniu na tron, udał się do Frankfurtu nadodrzańskiego i na śniadaniu wygłosił znane słowa, iż raczej ani piędzi niemieckiej ziemi nie ustąpi, choćby wypadło trupem położyć cały naród.

Ta broszura, albo raczej ten polemiczny pamflet, treścią niewinny i formą niezajmujący, rozgłoszony szeroko, aby zawczasu skompromitować postępowców i źle uprzedzić opinję do tych wywodów, z którymi oni wystąpią w parlamencie przeciw ustawom antisocjalistycznym.

Z liberałami trzymają się gadzinowcy innej taktyki; z jednej strony pokazują im gruszki na wierzbie i dowodzą, że stronnictwo to powinno się okazać zdolnem do rządów, które na nich w przyszłości czekają, a ze strony drugiej, rejestrując skargi junkrów na liberałów, przebąkują, że junkrowie osobiście tęsknią do rządów. W ten sposób pokazano liberałom nóż i przewóz.

Kiedy gadzinowcy tak opracowują opinję publiczną, rząd robi minę obojętną, jak gdyby los ustaw antisocjalistycznych nic go nie obchodził. Dwa lata temu liberałowie oświadczyli, że tylko dla tego głosują za przedłużeniem tych ustaw, że rząd obiecał zaprojektować odpowiedniej zmiany w kodeksie karnym, po wprowadzeniu zaś owych zmian już nadal nie będzie potrzeba takich ustaw wyjątkowych. Owóż rząd nie zgadza się z tem zapatrywaniem, ale czyniąc zadość życzeniu liberałów przygotował projekt zmian w kodeksie karnym. Sami liberałowie, jeżeli są zdolni do rządów, łatwo się przekonają, że takie zastosowanie prawa byłoby bardzo niedogodne i dla tego głosować będą za dalszą prolongatą ustaw antisocjalistycznych.

Zatem szkielet taktyki rządowej tak się przedstawia: postępowców postanowiono zohydzić w oczach publiczności, liberałów zażyć z mańki, a o junkrów można nie dbać, bo ci z zasady są za ustawami antisocjalistycznymi; mukierzy zaś, jako deputowani z łaski rządu, będą tak głosowali, jak kanclerz każe; — i oto większość się znajdzie dla rządowego zamiaru prolongaty małego stanu oblężenia.

Lecz junkrom się nie podobało, że kanclerz tak jest ich pewny, iż nietylko nie zabiega o ich względy, ale nawet liberałom pokazuje gruszki na wierzbie kosztem aspiracyj junkierskich. Pokazali tedy rożki.

Towarzystwo Gospodarskie jest ich lożą. Tu oni wszystkie najserdeczniejsze myśli wypowiadają, stąd rzucają pociski tam, gdzie potrzeba. Otóż wczoraj zebrał się komitet tego Towarzystwa na okręgi Zachodnich Prus. Z mową wystąpił p. Puttkamer, brat byłego ministra, i uderzył w kanclerza — prosimy się domyślić, za co? — za wydalenia Polaków z Prus Zachodnich i Poznańskiego! Mówca uroczyście dowodził, że jego brat nie dopuścił się tego „szkodliwego" czynu, owszem, odradzał kanclerzowi wypędzania Polaków, przedstawiając mu fatalne dla gospodarstwa skutki, jakie ta akcja wywoła. Ale, niestety, kanclerz żadnych przedstawień słuchać nie chciał i w ciągu paru tygodni wyrzucić kazał 40 tysięcy Polaków. Fatalne skutki tej szkodliwej akcji wnet się objawiły: robotnik podrożał, liczba konsumentów zmniejszyła się i oto rolnicy ucierpieli podwójnie. Była chwila, w której rząd chciał naprawić błąd przez sprowadzenie... Chińczyków!

Ta mowa p. Puttkamera sprawiła wrażenie na słuchaczach, a kwasy wywołała w dziennikarstwie gadzinowem. To zaś najbardziej boli gadzinowców, że członkowie Tow. Gosp. jednogłośnie uchwalili rezolucję, wzywającą rząd o ułatwienia dla robotników, przybywających z Królestwa Polskiego.

Zachowanie się junkrów jest oczywiście tylko manewrem. Wszak oni pierwsi wychwalali bannicyjną akcję. Niezaprzeczenie, sprawiła ona niemałą szkodę ekonomicznemu życiu Prusaków, lecz oni wiedzą, że ona nie jest do powetowania i przez to na serjo nie myślą o odwołaniu bannicji. Im tylko idzie o ukłócie rządu za jego umizgi do liberałów.

Dnia 10 b. m. car Aleksander III uroczyście obchodził dzień swych urodzin. Była to pierwsza niedziela postu, dzień, w którym prawosławni wstrzymują się od zabaw i wykwintnych potraw. Car, jako ultraprawowierny, nie mógł oczywiście tego dnia bankietować, ale przyjmował powinszowania i wyrażał swą życzliwość, a potem wszystkich krewnych i swojaków sprosił do siebie na familijny raut. Na tem zebraniu był więc i wielki książę hesski z córką Alicją i tu podobno oznajmił, że czas już mu wracać do domu. Głoszą tedy, że już może wyjechał z Petersburga, albo w tych dniach wyjedzie z córką do swego państwa. Znaczyłoby to zapewne, że małżeński projekt całkiem się rozchwiał.

Donosiliśmy przed paru dniami, że serbska regencja ułaskawiła Pasicza, który ułożył spisek na życie Milana i był za to skazany, a był zawsze jawnym agentem Błagotworitielnego Komitetu. To ułaskawienie wszędzie za granicą, a szczególnie w Rosji, sprawiło wrażenie. Wywnioskowano z tego zwrot polityki regencji. Otóż, teraz ogłoszono, że Milan listownie prosił regentów o ułaskawienie Pasicza, co było w duchu słów w jego pożegnalnym manifeście. Ten list, regencja dała go do zaopinjowania ministrowi sprawiedliwości, a ten oświadczył, że należy wypełnić prośbę eks-króla. *Corr. de l'Est* ogłosiła nawet treść listu Milana, ale wierzyć nie chce się w tę wersję. Milan listownie prosił, bo przed abdykacją nie mógł złożyć żadnego konstytucyjnego gabinetu dla tego, że nie uregulował sprawy Pasicza, a teraz ten bez wątpienia już nie jest niebezpieczny. Zbyt niebezpiecznie byłoby, gdyby teraz sprawa ta się rozchwiała.

Milan niebawem przybędzie do Wiednia. Austrjackie poselstwo zawiadomiło go, że będzie przyjęty przez cesarza i hrabiego Kalnokyego.

W sejmie węgierskim wleką się dalej rozprawy nad § 25 ustawy wojskowej. Opozycja przeciw temu paragrafowi, stając w obronie ochotników, chociaż osłabła w natarczywości, nie ustaje i nie ma widoków, aby niebawem zamknęły się szluzy wymowy skrajnego skrzydła opozycji. Idąc za metodą irlandzkich obstrukcjonistów, mówcy z opozycji zbaczają ustawicznie z przedmiotu rozprawy i robią wycieczki na pole polityki zewnętrznej, pole nader wdzięczne dla krasomówczych popisów frazesami. Onegdaj klub niezawisłych uchwalił prowadzić dalej rozprawę i przerwać ją dopiero wtedy, kiedy rząd odstąpi od drugiego roku służby dla ochotników. Tego nie zrobi rząd, a więc dalej płynąć będą fale rozprawy, równie wodniste i rozwlekłe, jak ta, która toczy się w wiedeńskiej Radzie państwa. Skutkiem tego będzie to, że po świętach wielkanocnych będą znów zwołane tak Rada państwa jak Sejm węgierski, bo nie będą przecież mogły oba rządy strącić z porządku dziennego wielu spraw ważnego ekonomicznego znaczenia, już przedłożonych, a to jeno dlatego, że pp. Fürnkranzom i Türkom zachcie się mówić przy każdym tytule budżetu, a przeciwnikom p. Tiszy zachce się obalić go, po wprowadzeniu nowej ustawy wojskowej.

Dotąd termin zwołania delegacji nie jest ściśle oznaczony, lecz oba rządy porozumiały się w tej sprawie o tyle, iż mimo poważnego położenia politycznego Europy, zwołanie delegacji nie będzie mogło nastąpić przed początkiem czerwca.

Rada państwa.

Wiedeń 11 marca.

305 posiedzenie Izby posłów otworzył przewodniczący dr. Smolka o godz. 10 przed południem.

Obecni wszyscy ministrowie, prócz ministra obrony krajowej.

Przewodniczący poświęca wspomnienie zmarłemu posłowi dr. Bertoliniemu i odbiera ślubowanie od posła Tomisława Rozwadowskiego.

Z porządku dziennego przystępuje Izba do dalszej rozprawy szczegółowej nad budżetem, a mianowicie do dalszej dyskusji nad rozdziałem „Rada ministrów" tytuł „Dzienniki urzędowe."

Pos. Derschata stawia rezolucję, aby ceny dzienników urzędowych, ogłaszających edykty licytacyjnych i egzekucyjnych, kiedy suma dłużna nie przewyższa 500 zł. Rezolucję tę dostatecznie poparłą odesłano do komisji budżetowej.

Dep. Roser omawia znaczenie dziennikarstwa w ogólności, powołując się na zdanie Fryderyka Wielkiego, że gazetom nie należy przeszkadzać. W ustawach zasadniczych zagwarantowana jest wprawdzie wolność prasy, w rzeczywistości przytłumia się ją. Nietylko że rząd występuje z zakazami kolportażu dzienników, które się mu nie podobają, lecz występuje nadto z coraz to nowemi środkami, powstrzymującymi rozwój dziennikarstwa. Dzisiaj nie będzie już mowy, że ktoś przystąpi do założenia dziennika, nie mając pewności, że go będzie mógł sprzedawać pojedyńczymi numerami w trafikach. Jakim prawem wystąpił rząd z takiemi samowolnemi rozporządzeniami, proklamując wyjątkowy stan prasy?

Roztrząsając kwestję stempla dziennikarskiego, powiada Roser: „Obok loteryi, tego podatku na idjotyzm, mamy jeszcze stempel dziennikarski, jako podatek na inteligencję narodową. A jeżeli rząd tłumaczy się potrzebą stempla z tej rubryki, to gazety urzędowe nie powinny być zwalniane od stempla. Sama *Wiener Ztg.* i *Prager Abendpost* zapłaciłyby rocznie 200.000 zł. Szczęśliwszy byłby ten rząd, gdyby skarb państwa tego potrzebował niezbędnie; dziś byłoby to równowagi w budżecie i dlatego wnioskuje mówca następującą rezolucję: „Wzywa się rząd, aby wniósł ustawę znoszącą stempel dziennikarski."

Wniosek został dostatecznie poparty i odesłany do komisji budżetowej.

Dep. Tuerk żąda również zniesienia stempla dziennikarskiego i kładzie nacisk na szkody, jakie on sprawia w rozwoju prasy ludowej, wpływając znacznie na podwyższenie ceny prenumeraty. Co do dzienników urzędowych, to niektóre z nich, jak *Wiener Ztg.* i *Abendpost*, lubo wartości literackiej nie mają, podają przynajmniej dość wiernie sprawozdania z obrad Izby. Natomiast występuje mówca stanowczo przeciw półurzędowym dziennikom. W jednym z tygodników, przez rząd subwencjonowanych, przedstawiono Bismarka jako majordoma Hohenzollernów, co może wzniecić podejrzenie, iż nasz prezydent ministrów zazdrości Bismarkowi i chce z nim rywalizować — a to nie wyszłoby hr. Taaffemu na korzyść, gdyż nie ulega wątpliwości, że Bismark, jako mąż stanu, w małym palcu więcej ma genjuszu, niż hr. Taaffe w całej głowie. — (Śmiechy na lewicy — niepokój na ławie ministrów).

Przewodniczący upomina mówcę, iż mówi on wprawdzie o dziennikach, ale nie o dziennikach urzędowych, które są przedmiotem rozprawy. Upomnienie to nie skutkuje jednak, bo pos. Türk zamiast przejść do przedmiotu rozprawy, rozpoczyna polemikę przeciw mowie pos. Schaupa. Znów więc wzywa go przewodniczący do trzymania się właściwego przedmiotu, a gdy to nie odnosi skutku, odbiera mu głos wśród oklasków całej Izby i oznak niezadowolnienia na ławach antisemitów.

Po kilku słowach sprawozdawcy dr. Mattusza przyjęto tytuł „Dzienniki urzędowe," a rozpoczęto rozprawę nad następnym „Zasiłki na koszta spraw wspólnych."

Zapisani do głosu posłowie Fürnkrantz i Türk.

P. Fürnkrantz w rozwlekłem, statystycznemi datami najeżonem przemówieniu występuje przeciw unji cłowej z Węgrami.

W wywodach tych przerywa mu przewodniczący, mówiąc, że ściśle rzecz biorąc, nie ma co mówić o tej pozycji budżetu (wesołość), ale trzeba ją zawotować. Prosi więc mówcę, aby nie odstępował od rzeczy.

Mimo tego upomnienia p. Fürnkrantz rozwodzi się dalej o upadku austrjackiego młynarstwa, a przechodząc z dziwaczną logiką na proces Schönerrera, utyskuje na stosunki policyjne w Austrji, gdzie bez wątpienia nie pozwolonoby na takie demonstracje, jakie niedawno temu odbywały się w Peszcie przeciw nowej ustawie wojskowej. Stąd wysnuwa mówca z jeszcze dziwaczniejszą konsekwencją wniosek, iż unja realna z Węgrami winna być zniesioną, a jej miejsce zająć powinna unja personalna, i zapowiada, że będzie głosował przeciw tytułowi budżetu będącemu pod rozprawą.

Izba widocznie nie wiele sobie robiąc z tego „votum separatum" uwolniona od słuchania posła Türka, który zrzekł się głosu, uchwala prawie jednogłośnie ten tytuł.

Przy następnym rozdziale „Ministerstwo spraw wewnętrznych" zabiera głos pos. Knotz.

Mowę swą rozpoczął on polemiką z Hausnerem, któremu zalecił, aby o narodowościowym pokoju nie orjentował się w wielkiem niemieckiem mieście kąpielowem, ale aby zajrzał do jakiego miasta o mięszanej ludności w Czechach, a wtedy wyleczy się z optymistycznego zapatrywania na szczęliwe położenie Niemców w Czechach. Cóż mogło zresztą wywołać korzystniejszy stan stosunków w Czechach? Czy może ten rząd, który od lat 10 temi samemi krocząc drogami, nie nad ukonsolidowaniem, lecz nad rozkładem państwa pracuje? Hr. Taaffe twierdził wprawdzie, iż ukonsolidowaniu państwa stoją w drodze liczne trudności. Być może, ale ja stwierdzę właśnie, iż najgłówniejszą trudnością jest sam rząd. Niemieckiemu narodowi nie chodzi o kilka krzeseł ministerjalnych, lecz o cały system Taaffego, który upaść musi. Nastąpi to może wtedy, gdy zajdą wielkie wypadki. Obecnie idzie bardzo dobrze hr. Taaffemu; większość przyzwala na wszystko, a nawet część opozycji przy ważnych projektach głosuje za rządem. Najlepiej scharakteryzował hr. Taaffego niedawno jeden obrazek w *Figarze.* We środku obrazka stoi Taaffe wesoły, zadowolniony, ręce ma w kieszeni, a w ustach cygaro, a koło niego stoją: Bismark, Floquet, Crispi i Tisza, walczący ze swymi przeciwnikami. Pod obrazkiem czytamy słowa Taaffego: Gdy pomyślę sobie, jak się obchodzą z Bismarkiem, Floquetem, Crispim i Tiszą — przychodzę do przekonania, że ze wszystkich ministrów-prezydentów ja najbardziej jestem lubiany.

Jedynym punktem jaśniejącym na widnokręgu obecnej polityki pozostaje jeszcze przymierze niemiecko-austrjackie, i pragniemy osnuć takowe na podstawie prawno-państwowej. Wówczas bowiem Niemcy osiągnęliby napowrót swą przewagę, a aspiracje małych narodów zostałyby unicestwione. Niemcy austrjaccy będą się trzymali tego przymierza, jak cesarz Wilhelm II z wiernością niemiecką. Starano się wprawdzie na tę wierność niemiecką rzucić podejrzenie. (Okrzyki z lewicy: kto?) Dep. Knotz: Dep. Wasaty wygłosił tutaj wyrazy głęboko obelżywe dla wszystkich Niemców: *Germanica fides, nulla fides!* Tem powiedzeniem Waszaty zmięszał najszlachetniejszy przymiot Niemców z błotem, a każdemu z Niemców na tę obelgę krew powinna uderzyć do głowy, a raczej do pięści. Coby powiedzieli Czesi, gdybym napomknął o niektórych właściwościach ich charakteru, wyrażonych w utartem w ich kraju zdaniu:

Trau, schau, wem?
Nur kan' Böhm!"

W dalszym ciągu swej polemiki z Waszatym mówca oświadcza, iż w razie upadku państwa, Niemcy pod względem narodowościowym mniej boleśnie zostaliby dotknięci. Niemcy mieliby bezpieczny port, czeska koronacja atoli ostatecznie musiałaby ustąpić z porządku dziennego i przytartoby nieco pazury lwa czeskiego. Niechaj Czesi pamiętają o tem, iż nawet półwysep czeski nie stanowi niebezpieczeństwa dla państwa niemieckiego; byłby on chwilowym ciężarem, któregoby prędko potrafiono się pozbyć. — Obecnie Czesi wprawdzie stanowią w Czechach naród wybrany, są oni obywatelami pierwszego rzędu, Niemcy zaś obywatelami drugiego rzędu, i tylko jako płacący podatki liczą się do pierwszego rzędu. Przytem rząd wspierany jest przez służalczy stan urzędniczy. Mówca przytoczył odnośne do tego wypadki, oraz przypomniał, iż w Czechach wzbroniony został debit gazecie *Dresdner Nachrichten*, pomimo to, iż właśnie ten dziennik zajął w obec ciężkiego ciosu, jaki spotkał dom austrjacki, stanowisko lepsze, aniżeli niejeden z dzienników zagranicznych, które w bezczelny sposób....

W tem miejscu przerywa mówcy obok stojący pos. Hompesch, zwracając się z prośbą do przewodniczącego Izbie wiceprezydenta Chlumeckiego, aby nie pozwolił pos. Türkowi dalej mówić o tym wypadku.

W skutek tego wszczyna się głośna wymiana słów między posłami Türkiem, Hompeschem i wielu posłami z ław antisemickich.

Dep. Kindermann woła do hr. Hompescha: „Wyjdź pan ztąd, jeżeli nie chcesz słuchać! — Wiceprezydent Chlumecky: „Proszę mówcy nie przerywać." Hompesch idzie do Chlumeckiego i chce mu wytłómaczyć sprawę. Dep. Dr. Knotz: „Przeciwnie to należy do rzeczy, jest to sprawa wewnętrzna." Dep. hr. Hompesch: „Proszę p. prezydenta kazać sobie podać protokół stenografowany." (Okrzyki z lewicy: Cicho! Niech wyjdzie! Wolność słowa!) Dep. Knotz: (ostro do Hompescha): „Idź pan na prawicę, jeżeli pan nie chcesz słyszeć, my do was nie przechodzimy." Chlumecky: „Prosiłem już panów, aby nie przerywali mówcy."

Po tem zajściu dep. Knotz mówił dalej ale przed prawie pustemi ławami, gdyż wielu posłów obrażeni grubiańskiem jego zachowaniem się, opuściło salę obrad. Zarzucał on rządowi, iż świadomie czy nieświadomie chce przeistoczyć tę starą Austrję na państwo słowiańskie. Doprowadzi on do tego, iż Niemcy odwrócą się od tego państwa i sami będą się starali o swoję narodowość. Rząd stara się niemal wynaleść kontrast między Niemcami a Austrjakami, przez co wytworzy irredentę, która może grozić bezpieczeństwu państwa. Niemcy zaś powinni zawsze pamiętać słowa Hausnera: „Naród, który tchórzliwie i pokornie sam się ogranicza, nie wart jest, aby istniał." Ja także powiadam: „Jeżeli naród niemiecki sam się będzie ograniczał, nie wart będzie, aby istniał." (Nieliczne oklaski z skrajnej lewicy.

Następny mówca p. Ferjancic wytyka, iż władze szkolne w Styrji i Karyntji idą na rękę germanizacji. Mówca przytacza skargi Słoweńców, do których nie zastosowywują równouprawnienia. Takie postępowanie nie jest godnem rządu, popieranego przez słoweńskich posłów.

Prezydent gabinetu hr. Taaffe u wstępu swojego przemówienia uprasza o wybaczenie, że przy pozycji o wewnętrznym zarządzie państwa będzie mówił nieco o zagranicznej polityce. Mógłby wprawdzie powołać się na rozprawy w delegacjach, lecz nie o to chodzi mówcy. Oto z ust poprzedniego mówcy dotknął go zarzut, iż w rozprawie budżetowej przemawiał jeden z posłów

Kronika londyńska.

Niedawno otwarto w Londynie dwa nowe teatra: *Court* i *Shaftesbury.* Na tej samej ulicy, gdzie stanął ten ostatni, kończy się budowa jeszcze innego, całkiem nowego *Lyric Theatre.* Oprócz tego budują w okolicach Strandu, centralnym cyrkule teatralnym, dwa inne teatra: *Garrick* i *Tivoli.* Oddawna zamknięty teatr *Novelty* został także otwarty pod nazwą teatru *Jordell.* Sześć nowych teatrów, dodanych do trzydziestu sal, mniejwięcej stale dających przedstawienia i jakich pięćdziesięciu *Music hall'ów* i teatrzyków ludowych: oto bilans dramatyczny Londynu. Jakiekolwiek się ma zdanie o wartości istotnej tego teatralnego życia, nie można zaprzeczyć, że ono wre i kipi, że publiczność bierze w niem żywy udział, i że Anglja, długi czas obojętna na powaby sceny, nie skąpi jej obecnie materjalnego i towarzyskiego poparcia. Za obszerny to przedmiot, ażebyśmy go chcieli wyczerpać w ramach naszej pogadanki; pozwolimy sobie jednak podnieść niektóre jego strony, a to z okazji kilku świeżych publikacyj pamiętników i autobiografij aktorów i impresarjów rozgłośnej sławy. Słuchając ich opowiadań, będziemy mogli zrozumieć, czem jest obecnie teatr w ojczyznie Shakespeare'a.

O dwóch pierwszych publikacjach nie da się wiele powiedzieć. Są to wspomnienia George'a Grossmith i Cornay Grain. Obaj są komikami wielce popularnymi. Pierwszy, Grossmith, uważa się za angielskiego Coquelin'a — nie za starszego jednak, pośpieszmy dodać, który jest wysoce wykształconym artystą, o komizmie opartym na psychicznem zbadaniu natury ludzkiej, ale za młodszego jego brata, w którym uosabia się komizm niższy, błaznujący, przedrażniający, graniczący z karykaturą i tak zwaną we Francji *fumisterie.* Grossmith jest istotnie typową w tym ostatnim rodzaju postacią. Jest on obdarzony delikatnym zmysłem humorystycznym, i niewielu aktorów znalaźćby można o fantazji bardziej niespodziewanej, o dziwaczniejszych wyskokach dobrego humoru. Grywa on zazwyczaj w teatrze *Savoye* w operetkach Sullivana, jak „Mikado", ale słynie ze swych improwizacyj, monologów i fantazji.

Drugi, Cornay Grain, nie jest aktorem z powołania. Wykształcony i należący do dobrego towarzystwa gentleman, poczuł w sobie przed kilkunastu laty żyłkę artystyczną i w szeregu scen dramatycznych, których jest autorem, oraz które sam gra, deklamuje i śpiewa, pozyskał sobie szeroką sławę. Obdarzony zmysłem spostrzegawczym, nadzwyczaj bystrym, Cornay Grain jest zwierciadłem wszystkich przywar, usterek, błędów i wad towarzyskich. Drwi z nich niemiłosiernie, ale w tak lekki i wykwintny sposób, że się ofiary tej salonowej satyry gniewać nie mają powodu. Cornay Grain jest, jak powiedziano słusznie, instytucją narodowo-angielską i jego istnie brytański *humour* może być należycie oceniony tylko przez tych, co znają gruntownie tutejsze społeczeństwo. Daje on codziennie przedstawienia w sali koncertowej S-t George Hall, a oprócz tego rozrywa go sobie towarzystwo londyńskie po klubach i salonach. Jego monologi i piosneczki wystarczają na programie wieczoru, aby zapełnić salę i wzbudzić śmiech homeryczny.

Łatwo zrozumieć, że wspomnienia i szkice autobiograficzne tych obu komików są ściśle i wyłącznie indywidualne. Przywykli do zabawiania widzów, chcą także zabawić czytelników. Ich książeczki są pełne anegdot, wesołych konceptów i świadczą o wielokrotnem, bezwyjątkowem powodzeniu autorów. Jest to hymn pochwalny, wyśpiewany na ich własną chwałę z prawdziwą naiwnością, która rozbraja pesymistycznego sędziego. I dlaczegożbyśmy mieli protestować przeciwko tej apotezie śmiechu i wesołości? Azaliż życie nie jest przepełnione troską; ażaliż szary, ciężki całun nudów nie cięży na uprzywilejowanych właśnie członkach towarzystwa? Aktor, artysta, co nas swą fantazją odrywa od rzeczywistości, a swym humorem o śmiech przyprawia, jest istotnie dobroczyńcą. Wybaczyć im można ich próżność i przecenianie swej własnej roli. Nie czyni to szkody nikomu, a ich samych we własnych oczach uzacnia.

Większe pretensje roszczą sobie widocznie dwa grube tomy p. t. *Pan i Pani Bancroft na scenie i po za sceną*, napisane przez nich samych, opatrzone portretami autorów-artystów, dedykacjami, notatami i t. d., jednem słowem całą ciężką artylerją literacką. Ma się tu do czynienia z typowemi osobistościami aktorskiego fachu i warto bliżej pamiętnikom tym się przypatrzeć.

Wszyscy, znający współczesne życie teatralne angielskie, znają tę parę aktorów-dyrektorów. Śliczniutka Marja Wilton rozpoczęła swój sceniczny zawód od tak zwanych *travesties*, t. j. ról, gdzie grywała chłopców. Obdarzona, jeżeli nie nadzwyczajnym, to przynajmniej elastycznym i sympatycznym talentem, poczęła niebawem od komedji obyczajowej i stała się ulubienicą publiczności w rolach bohaterek. Wzięła na siebie dyrekcję teatrzyku „Prince of Wales" i w krótkim czasie zrobiła z tej podrzędnej salki najwykwintniejszy teatr stolicy, gdzie w eleganckiem otoczeniu zbierało się przez lat dwanaście wyborowe towarzystwo angielskie. Poślubiwszy p. Bancroft, grywała wraz z mężem główne role w komedjach Bulwera, Bouccicaulta, Robertsona i w tłómaczeniach W. Sardou. Nadzwyczajne ich powodzenie przypisać należy głównie komedjom obyczajowym Robertsona. Nie ma wątpliwości, że Tom Taylor i Robertson są jedynymi oryginalnymi talentami dramatycznej literatury angielskiej w ostatniej ćwierci wieku. Komedje jak *Society*, *Ours*, *M. P.* i kilka innych, że już nic o słynnej *School* nie powiemy, mogłyby stać się wzorem dla tych scenicznych pisarzy współczesnej ultra-realistycznej szkoły, która po za cudzołóstwem, kazirodztwem, etc. nie widzi żadnego innego tematu, godnego pióra scenicznych pisarzy. Robertson jest zajmujący, zabawny, a nie dziecinny bynajmniej; umie charaktery pochwycić na uczynku, a jeżeli nie odlewa ich w spiżu, to niemniej przeto uderzają życiową prawdą.

Anglja cała rozkoszowała się temi komedjami, nie odłączając od nich osób pani Bancroft i jej męża. Grano i wznawiano je bez końca, z niesłabnącą ciągle sympatją. Ustawiczne powodzenie dyrektorów sceny i aktorów skłoniło ich do rozszerzenia swych ram: zakupili teatr „Haymarket", odbudowali go z nieznanym pierwej w Londynie wykwintem i rozpoczęli tam nowy szereg tryumfów, wśród których komedje Sardou główną grały rolę.

Po dwudziestoletnim zawodzie teatralnym w pełnym rozkwicie swego talentu, oboje usunęli się ze sceny, z wielkim majątkiem i lubieni zarówno w kołach aktorów i artystów, jak i u arystokratycznych kół towarzystwa angielskiego.

Jak czytelnik przekonać się może, nie było w tym artystycznym zawodzie pp. Bancroft ani żadnych dramatycznych walk z losem, ani burz i kataklizmów. Wszystko szło im, jak z płatka. Zostawili po sobie wspomnienie przyjaźne i działalność ich nie została bez wpływu towarzyskiego. Zbliżyli oni aktorów do innych klas społeczeństwa, zerwali z cyganerją i udowodnili, że można być dobrze wychowanymi i przeciętnie moralnymi, choć się obraca w gorączkowej i wyjątkowej sferze teatru. Na to też kładą główny nacisk w swych pamiętnikach. Jeśli nas uderza w nich pobłażliwość i uprzejmość, z jaką mówią o wszystkich swych kolegach scenicznych bez żadnego majątku, jeśli z zasady nie czynią wzmianki o najmniejszym skandalu, a nawet wybryku i przedstawiają teatr jak arkadyjski i białości świątynię — owczarnię, za to jednak nie pomi-

przeciw przymierzu z Niemcami, a rząd nie wystąpił w obronie tego przymierza.

Robiąc ten zarzut powiedział mówca, iż gdyby w ten sam sposób krytykowano to przymierze w Reichstagu niemieckim, nie milczałby z pewnością kanclerz, lecz wystąpiłby ostro przeciw tej krytyce. Na zarzut ten dwie są odpowiedzi. Pierwsza, że odpowiada się mówcom, po za któremi stoją silne stronnictwa. Druga, że odpowiada się tam, gdzie sprawa przynależy, a takiem ciałem konstytucyjnem jest niezaprzeczenie Reichstag, a w Austro-Węgrzech tylko delegacje.

Mówca staje dalej w obronie stanu urzędniczego Austrji, któremu jeden z poprzednich mówców dał przezwisko serwilistycznego. Mówca, jako stary urzędnik, który służył od najniższych stopni, zbyt dobrze zna dodatnie strony austrjackiego stanu urzędniczego, i nie może dozwolić, aby go tak hurtem a niesłusznie potępiano. Mówca nigdy nie stawiał patrjotyzmu niemieckiego w przeciwieństwo do patrjotyzmu austrjackiego, przeciwnie sądzi on, że oba te pojęcia mogą iść zgodnie obok siebie.

To bowiem jest dziwną właściwością Austrji, że w niej mogą obok siebie Niemcy, Polacy, Czesi być dobremi patrjotami niemieckiemi, polskiemi, czeskiemi ale prócz tego być dobremi patrjotami austrjackiemi. Stopień zaś tego ściśle austrjackiego patrjotyzmu zawisł od tego, o ile który z tych narodów robi ofiar na ołtarzu wspólnej ojczyzny z własnych aspiracyj narodowych. A i to jest wybitną właściwością Austrji, iż w niej wszystkie narodowości idą razem, trzymają się razem i nie szukają punktu oparcia swojego poza granicami państwa.

W dalszym ciągu powiada minister, iż zamiast — jak to czyni wielu mówców — przytaczać przed Izbą pewne „przykłady" nie zupełnie poprawnego postępowania władz, lub zamiast robić takie „przykłady" przedmiotem interpelacji, byłoby praktyczniej występować przeciw takiemu postępowaniu w sposób wskazany ustawami, t. j. lepiej jest wnieść zażalenie lub odwołanie się do wyższych instancji. W ogóle nie należałoby może zbyt surowo sądzić urzędy polityczne Austrji, bo od czasu ich organizacji przed 20 laty zwiększyły się olbrzymio czynności, lecz wcale nie zwiększył personal tych urzędów. Już dziś coraz silniej przejawia się konieczność pomnożenia personalu, a tylko względy finansowe wstrzymują od tego ministerstwo. Mimo tego mówca może zapewnić Izbę, iż władze polityczne, idąc za wskazówkami z góry, postępują zupełnie bez stronnie i nie stronniczo, a w każdym wypadku, gdyby postąpiły one inaczej, nie będzie to cierpianem. Władze bowiem są dla całej ludności, ale nie na wysługach pewnych narodowości, stronnictw lub osób. Dla tego to niesłusznym był wyrzut zrobiony rządowi, iż Karyntja ma w tej Izbie tylko posłów z jednego stronnictwa, a nie ma ich z innych stronnictw, i że rząd znosi to obojętnie. Owóż zarzut ten był całkowicie niesłuszny, bo rząd stoi zupełnie na uboczu w obec wyborów i z równą radością wita przybywających do tej Izby posłów z tych lub owych stronnictw. (Żywe oklaski i wesołość na prawicy).

Po mowie hr. Taaffe przerwano dalszą rozprawę i zamknięto posiedzenie o godzinie 3 z południa.

Następne jutro, we wtorek, dnia 12 b. m. Na porządku dziennym dalsza rozprawa szczegółowa nad budżetem.

KARTKA
z niedawnej przeszłości.

Wkrótce ma się pojawić drugi tom pamiętników francuskiego dyplomaty hr. Chaudaurdy, więc zwyczajem paryzkich wydawców już ogłoszono z tej książki urywek dla zaciekawienia czytelników całością. W urywku tym autor powtarza swą rozmowę z ks. Bismarkiem o tem, jak stanął sojusz austro-niemiecki. Ponieważ ta sprawa dotąd budzi żywy interes, a opowiadanie hr. Chaudaurdy'ego charakterystycznie maluje politykę niemieckiego kanclerza, przeto warto poznać się bodaj w wyjątkach z ogłoszonym rozdziałem, zanim o całej książce będziemy mogli zdać czytelnikom relację.

Rozmowa między ks. Bismarkiem a autorem pamiętnika toczyła się właśnie wtedy, gdy powstawał sojusz austro niemiecki, t. j. w r. 1879. Kanclerz nie taił, że jedynie zwrot w polityce petersburskiej podsunął mu myśl dobijania się o sojusz z Austrją. Zamiast starej przyjaźni między Prusami a Rosją powoli zaczęła się rodzić pewna nieufność i zawiść w caracie do szczęśliwego kamrata, a te uczucia, mające pierwotnie źródło w osobistej podejrzliwości ks. Gorczakowa, powoli zaczęły się objawiać w opinji rosyjskiej i stawały się dogmatami politycznemi całej prasy w caracie. „Muszę przyznać — rzekł kanclerz — że głównie Rosji zawdzięczam urzeczywistnienie mego upragnionego celu, bo sojusz z Austrją był już dawno mym marzeniem."

Rzekłszy to, mimo woli ks. Bismark musiał się cofnąć do wspomnień z r. 1866. Rzekł tedy, że rozpoczynając wojnę z Austrją stał jeden przeciwko wszystkim. Nawet król pruski, aczkolwiek ostatecznie skłonił się do jego zamiarów, nie był jednak w zupełności przekonany. „Gdybyśmy wówczas zostali pobici, nie pozostawałoby nic, jak szukać ratunku w śmierci." Stało się jednak inaczej: Sadowa rozstrzygnęła losy kampanji na korzyść Prus.

Z tą chwilą jednak zaczął się szereg trudności dla ks. kanclerza. Wahający się przedtem monarcha nagle stał się wymagającym, a podniecany przez partję wojskową, domagał się terytorjalnych zdobyczy. Były to, jak zaręcza ks. Bismark, najbardziej gorzkie chwile w jego życiu. Z jednej strony stał król, którego sentymentalny upór nie łatwo dawał się przełamać, z drugiej zaś strony ks. Bismark rozumiał doskonale, że uszczuplając cośkolwiek z monarchji Habsburgów, a tembardziej godząc się na jej faktyczny rozkład, podkopałby przyszłość Prus i ich stanowisko w Rzeszy niemieckiej.

Cóż bowiem stałoby się w takim razie?

Oto, wcielając Austrję do związku niemieckiego, ks. kanclerz otworzyłby dla antipruskich żywiołów w Bawarji, Wirtembergu, Badenji i Hessji stały przytułek, a nadto przez przyłączenie ludności katolickiej złamałby większość protestancką, a katolicyzmowi w tak skombinowanych Niemczech zapewnił przewagę. „To wszystko byłoby, — zaręczał ks. Bismark, — zarówno mnie, jak i ideę niemiecką w zupełności złamało. Zburzyłbym własnemi rękami stworzony przezemnie budynek, a natomiast urzeczywistniłbym wymarzoną ideę Napoleona III-go o rozpadzie Niemiec na dwa wrogie obozy — południowo-katolicki i północno-protestancki."

Nadto Rosja, oprócz Galicji i Słowian południowych, byłaby zmuszona domagać się i Czech, na co znowu ks. Bismark żadną miarą zgodzićby się nie mógł. W takiem więc położeniu rzeczy, czekała go w dodatku niechybna perspektywa wojny z Rosją. „Widzisz pan tedy — zapewniał żelazny książę dyplomatę francuskiego — że we własnym interesie obstawałem wszystkiemi siłami przy utrzymaniu Austrji."

Powoli z niesłychanym trudem udało się wreszcie przełamać upór Wilhelma I-go, ale walka była tak zaciekłą, że ks. kanclerz był zmuszony chwycić się środka ostatecznego — zażądać swojej dymisji.

Opinja publiczna w Niemczech zaczęła odgadywać zamiary kanclerskie, natomiast jednak w Austrji pamięć poniesionych klęsk męciła jasność poglądów. Szczególnie zawziętym, wedle zdania ks. Bismarka, był arcyksiążę Albrecht, którego sympatje dla Rosji były jakoby powszechnie wiadome. O przejednaniu umysłów nie mogło więc być mowy. Powoli jednak przychodziły żelaznemu księciu w pomoc same wypadki. Nastąpiła wojna turecko-rosyjska, traktat w St. Stefano i kongres berliński. Łuska spadła z oczu politykom wiedeńskim, a najzawziętsi nieprzyjaciele, nie wyłączając arcyksięcia Albrechta, poczęli rozumieć, że zbliżenie się do Niemiec, stało się dla Austrji deską zbawienia.

„Zjechaliśmy się — opowiada dalej ks. Bismark — z hr. Andrassym w Gasteinie, aby dokonać prac przygotowawczych. Cała rzecz dałaby się załatwić w cichości, gdyby nie porywy sentymentalizmu, na które cierpiał mój drogi monarcha. Ni ztąd ni z owąd przyszło mu do głowy szukać spotkania z carem. Z zamiarem swoim krył się skrzętnie przedemną i dopiero gdy wszystko było przygotowane, powiadomił mnie o nim listownie. Byłem przerażony. Błagałem cesarza, aby się cofnął, a przynajmniej poczekał, dopóki mu nie złożę raportu z moich prac i zamiarów. Niestety — wszystko było zapóźno: byłem bezsilny. Nastąpił tedy zjazd w Aleksandrowie. Cesarz powrócił rozczarowany: nie zastał tam tego, czego się spodziewał. Nadto opinja publiczna w Niemczech uczuła się poniekąd dotkniętą tym krokiem. Nie zwlekałem ani chwili i bezwłocznie udałem się do Wiednia."

„Celem mojej podróży było pozyskanie cesarza Franciszka Józefa, co mi się udało bez wielkich trudności. To samo powiedzieć mogę o arcyks. Albrechcie. Przekonałem się, że zarówno w sferach dworskich jak i w armji zrozumiano, zkąd właściwie grozi niebezpieczeństwo.

„Wspólnie z cesarzem Franciszkiem Józefem i Andrassym omówiliśmy wszelkie możliwe wypadki, poczem doszliśmy do porozumienia co do środków, jakie przedsięwziąć należy w razie napadu. W trakcie narad braliśmy pod uwagę możliwość bezpośredniej akcji ze strony Rosji, jak również powikłań na półwyspie Bałkańskim. Naradzaliśmy się co do poszczególnych dotąd jeszcze niewykonanych punktów traktatu berlińskiego. Wreszcie nie pominęliśmy także kwestyj finansowych, handlowych, administracyjnych, prawniczych — jednem słowem wszystkiego, coby na większe zbliżenie się Austrji ku nam wpływ mieć mogło. Przymierze nasze wszakże nie było zaczepno-odpornem, ale jak pan z powyższych objaśnień wnosić możesz, tylko pokojowe i odporne."

Ewentualność napadu Włoch na Austrję książę kanclerz uważał za wprost niemożliwe. „Gdyby Włochy były groźnem mocarstwem wojskowem, możebyśmy się niemi zajmowali, lecz lękałem się obrazić Austrję, ofiarując jej pomoc przeciw napadowi jej zaalpejskiego sąsiada. Armja austro-węgierska prędkoby sobie dała radę z samemi Włochami i wyprawa tego młodego i niespokojnego narodu nie stałaby się groźną, chyba gdyby siły jego służyły za dodatek do sił rosyjskich, a w takim razie nasze układy przeciw inwazji rosyjskiej weszłyby w życie. Nie potrzebowaliśmy więc zajmować się Włochami."

Na zapytanie hr. Chaudaurdy, czy w razie gdyby Austrja zechciała posunąć się ku Salonice, Niemcy są obowiązane popierać ją, odpowiedział ks. kanclerz jak następuje: „Pytanie to nie ma praktycznego zastosowania, albowiem Austrja nie ma zgoła zamiaru rozszerzać swoich posiadłości za Nowy Bazar, a przynajmniej za Mitrowicę. Postanowiła ona trzymać się ściśle traktatu berlińskiego, dopóki Rosja nie sięgnie po Konstantynopol. Tylko w tym wypadku Austrja poszłaby do Saloniki."

Wychodząc z założenia, że jedynym celem jego polityki jest utrzymanie pokoju, „dopóki się tylko da", dowodził Bismark, że państwa grupują się w ten sposób: Niemcy, Austrja i Francja miłują pokój; Anglja jest wojowniczą na morzu, pokojową zaś w Europie; Włochy z temperamentu wielce niespokojne, dałaby się łatwo pociągnąć do awantur. Jedynem państwem zaczepnem i żądnem zdobyczy jest Rosja. Żeby utrzymać w szachu mocarstwa niespokojne, potrzeba coraz ściślejszego zbliżenia się pokojowych. W obec tego ks. kanclerz radzi, aby, jak Niemcy sprzymierzyły się z Austrją, tak Francja związała się traktatem z Anglją. Związek taki miałby wszystkie sympatje żelaznego księcia za sobą.

„Ufajcie nam, — rzekł wreszcie na pożegnaniu do hr. Chaudaurdy'ego ks. Bismark, — tak jak my wam ufamy. Ta wzajemna ufność zagrodzi drogę wszelkim ambitnym i chciwym przedsięwzięciom. Możesz się pan przekonać z rezultatów, jakieśmy już osiągnęli. Przed 6ciu tygodniami Rosja była wojowniczą. Żądałem, aby o naszem przymierzu powiadomić gabinet petersburski. Cesarz na to się nie godził. Nalegałem, przekładałem — daremnie. Nie pozostawało, jak zażądać dymisji — co też uczyniłem. Cesarz odmówił, a kiedy obstawałem przy swojem, oświadczył mi, że złoży koronę. Na to zgodzić się nie mogłem. Zaczęliśmy więc znowu porozumiewać się. Ostatecznie cesarz ustąpił. Oficjalnie tedy zawiadomiliśmy petersburski gabinet o zawarciu sojuszu z Austrją — i oto karta się odwróciła. Wojownicza, prowokująca dotąd Rosja od razu przycichła. Mieliśmy spokój."

Tyle na razie podano z drukującej się książki hr. Chaudaurdy'ego.

Mały Fejleton.

„KOCHAM..."

— Panno Kiciu, jak będzie po francusku: Kocham?

Panna Kicia oczka mruży i z prawdziwym paryskim akcentem nuci mi pastorellę z Maskoty:

J't'aime plus, que mes dindo-ons,
Qui font: Glou, glou, glou, glou, glou, glou;
J't'aime plus, que mes mouto-ons.
Qui font: Bé, bé, bé!

— Tak; ale zkąd pochodzi: *aimer?*

— Z serca.

— Proszę być grzeczną; jaka jest etymologja tego wyrazu po za łacińskiem *amare?*

Panna Kicia przechyla główkę, jak kanarek.

— Czy ja wiem...

— Nic nie szkodzi; uczeni także nie wiedzą. Najuczeńsi z uczonych zgadzają się na sanskryckie *kam*, co znaczy lubieć, pożądać. W staroperskim *kam-ana* znaczy wierny, w zendzkim *kâma* znaczy pożądanie. W cygańskim języku, który jest jakiemś indyjskiem narzeczem, „kocham cię" znaczy: *me kamar tut*, a dotyczy uczucia czysto zmysłowego. Tak, niestety, pierwotny wyraz, a więc i pojęcie kochania wyszło wszędzie od tych niepoprawnych zmysłów; w naszym języku mamy przecież na to dowód najlepszy: kocham nie z czego innego wzięło się, jak z pierwiastku, który w greckiem dał *kyo, kyzo*, w niemieckiem *küssen*, całować, który to wywód potwierdzi psychologja języka, a choćby ta włoska piosneczka:

Bo jak nie ma wiosny bez zieloności,
Tak bez całowania nie ma miłości.

Snać my kochamy goręcej; forma germańska, jak angielskie *love*, niemieckie *lieben* zeszło u nas na proste lubienie. I to nas jeszcze przed innymi zaleca, że na pojęcie kochania mamy form więcej, niż inne narody; dawniej mówiło się: miłuję; lud nawet dziś nie użyje wyrazu: kocham, ale bardziej duchowego i — przyzwoitego: „Jestem ci rad".

Francuz jest najnieszczęśliwszy, bo u niego *aimer* stosuje się tak dobrze do słoniny, jak do dziewczyny: *j'aime le lard*, albo: *j'aime cet ange blond*. I są tacy, którzy za tym pyszałkiem powtarzają, że jego język jest *clair par excellence!* Język, w którym z każdego wyrazu można ułożyć kalambur!

Przytem to paryskie *J't'aime* (żetem) brzmi, przyznajcie, cokolwiek niedźwięcznie; milej już prowansalskie *Jeu t'aime*, takie gładkie, jak oliwa, takie słodkie, jak figa, takie wonne, jak muszkat z Frontignan!

Jakiś bluźnierca powiedział, że nie umiera się z miłości. Jakto? W ojczyźnie Jaufreja Rudela? Znacie powieść o tym trubadurze; w XII wieku znały ją wszystkie damy modnego świata Europy. Zakochał się w hrabiance trypolitańskiej, nie widziawszy jej nigdy, a tylko o cnocie i wdziękach jej słysząc od pielgrzymów z Antyjochji. Więc przywdziawszy płaszcz krzyżowca, puścił się na morze; w drodze zapadł ciężko tak, że ledwo żywego przywieziono do gospody. Gdy się hrabianka o smutnym dowiedziała kochanku, przyszła sama do komnaty, gdzie złożono chorego na serce, pocałowała go trzy razy, poczem skonał. Pochowano zmarłego w klasztorze templarjuszów; obok zamieszkała do śmierci hrabianka w mniszym habicie.

Choćby ta dziwna powieść, jak twierdzą niektórzy, była wymysłem, nie mogłaby powstać gdzieindziej, jak w Prowancji; tylko tam zdolne uczucie dojść do podobnej egzaltacji. To się nazywa *mal d'amor*, choroba straszna, która się kończy, jeśli nie trumną, to szpitalem warjatów. Idźcie i policzcie. Że się w tym cudnym kraju umiera z miłości, mężczyźni mi nie uwierzą (ja sam pierwotnie wierzyć nie chciałem), ale panie uwierzą. Ileż to pieśni ludowych osnutych na tym rzewnym temacie!

Dziwne, że tuż obok, w Pyrenejach, miłość jest chłodniejsza. „Kocham cię" mówi się tam: *Jo t'estimo*. Pojęcie kochania wyłożone pojęciem szacunku — zjawisko językowe istotnie niezwykłe! I tam chodzą legendy o chorych na miłość, ale powieść kończy się zawsze szczęśliwie: królewicza przywodzi do zdrowia dziewczyna-lekarz. Skoro już mówi się tyle o zakresie działalności kobiet lekarek, podsunę im dział tych chorób, jako najwłaściwszy dla płci niewieściej..

W żadnym jednak języku nie streszcza miłosne wyznanie tylu pragnień, tyle tęsknoty, tyle pieszczotliwości, co kastylijskie i andaluskie: *Te quiero* (Te kjero) „pożądam cię!" Tak szepcze zakochany chłopiec dziewczynie do okna, co noc, czasem przez długie lata, a ona na ten czarujący dźwięk doznaje takiego zawrotu głowy, że spadłaby mu w ramiona, gdyby okna nie broniła obliczona na podobne zemdlenia krata. Dziwi turystów szczegół bardzo charakterystyczny, że wszystkie hiszpańskie domy mają w oknach parterowych kraty: „czyżby z obawy przed złodziejami?" — pytają. Bynajmniej; z przyczyny, którą wyłuszczyłem. Ta sama przyczyna utrwaliła jeszcze jeden znany rys narodowy: żadnej panience nie wolno wychodzić na ulicy samej, lecz zawsze w towarzystwie mamy, cioci lub *dueni*, a to od dnia, w którym włoży „długą sukienkę," mówiąc przenośnie (bo strój południowy jest krótki).

Nie znam literatury, którąby posiadała większą ilość miłosnych pieśni i to tłumaczy się szczegółem, że kochankowie nim się pożenią, są skazani na widywanie się li tylko przez kratę... czasami lat kilka; cóż mają robić, jeżeli nie śpiewać?

„Twoje usta — dwu firanek
Purpurowy szlak:
Między dwiema firankami,
Dziewczę, rzecz mi: Tak!"

Kronika.

Lwów, dnia 14 marca.

Mianowania. Adjunkt podatkowy Schechtel mianowany podporucznikiem rachunkowym we Lwowie.

Starsi inspektorowie kolei Lwowsko-Czerniowieckiej: Ferdynand Summerecker i Karol Schrack mianowani radzcami cesarskimi.

Przeniesienia. Pan Namiestnik przeniósł inżyniera Emeryka Skawskiego, z Nowego Sącza do Tarnowa, a praktykanta budownictwa Leona Baltarowicza z Rzeszowa do Sambora.

Powodzie. Z zachodniej części kraju dochodzą wiadomości o ruszeniu się lodów i spowodowanych w skutek tego powodziach. Z Mielca donoszą, pod dniem 13 marca: Mostek inundacyjny na Wisłoce zerwany został tej nocy; przerwana grobla na 23 m. Lód nie ruszył; prawy przyczółek mostu rządowego zagrożony.

Z Wieliczki zaś donoszą, że w gminie Grabie lody na Wiśle spiętrzyły się, w skutek czego rzeka wystąpiła z brzegów i zalała wsie: Brzegi i Przewóz. Komunikacja przerwana.

Wreszcie nadchodzi z Rzeszowa wiadomość, że lody na Wisłoku odpłynęły we wtorek o godzinie 8 wieczorem przy stanie wody 3.50 m. poczem woda zaraz opadła do 2.68. Stan obecny wody 2·10 m. — Pod Jasionką powstał zator i stał się powodem wylewu zagrażającego Jasionce, Łukawcowi i Wulce.

W czytelni dla kobiet odbędzie się jutro w piątek 15 b. m. odczyt p. Juljana Makarewicza „o współczesnych szkołach malarskich".

Straszny wypadek a drugi już z kolei w ostatnich dniach zdarzył się znowu wczoraj. Podczas zrzucania śniegu z dachu trzy piętrowej kamienicy p. Stromengera na ul. Jagiellońskiej, gdzie się mieszczą biura wyższego sądu krajowego, robotnik Grzegorz Antonów, starszy już człowiek, stracił równowagę i spadł na podwórze, gdzie leżąca kupa śniegu ocaliła go od zabicia na miejscu. Jednakowoż nieszczęśliwy odniósł tak ciężkie uszkodzenie przez pęknięcie czaszki, że mało nadziei, ażeby mógł być ocalony. Tak Antonów jak i robotnik blacharski Tomiczek, który przedwczoraj spadł z dachu domu przy ul. Marjackiej nie byli przywiązani, jak się okazuje, pomimo, że istnieje rozporządzenie nakazujące właścicielom domów, ażeby robotnicy zrzucający śnieg z dachów byli silnym sznurem przywiązani do dymników lub komina. Rozporządenie to widocznie poszło w zapomnienie a w obec takiego lekceważenia życia ludzkiego i karygodnej lekkomyślności należałoby, żeby odnośne władze winnych do odpowiedzialności pociągnęły. Zrzucanie śniegu z dachów odbywa się także w niewłaściwej porze dnia zwykle w godzinach południowych, gdy ruch najwięcej jest ożywiony i to na głównych ulicach i placach, jak Marjacki plac i ul. Karola Ludwika a dzieje się to także pomimo ogłoszonego przez magistrat zakazu.

Zmarli. Marja z Jaworskich Hilchenowa, zmarła we Lwowie w 63 roku życia.

Dyrekcja kolei państwowych nam donosi, że po usunięciu zasp śnieżnych wznowiony został z dniem 14 marca b. r. wszelki ruch pociągów między Stanisławowem i Buczaczem.

Przestrzeń Buczacz-Czortków będzie prawdopodobnie dnia 15 marca b. r. dla ruchu otwartą.

Pogadanki na tle literatury, sztuki i życia krakowskiego. Pod tym tytułem rozpoczyna w sobotę 16 b. m. w Krakowie pan Kazimierz Bartoszewicz znany publicysta i literat, szereg prelekcji czyli pogadanek, które mają być trzymane w tonie kronik tygodniowych, które p. Bartosiewicz pisywał niegdyś w *Przeglądzie literackim*.

Ze Spasa w uzupełnieniu podanej przez nas wiadomości o polowaniu na rysie, donoszą nam, że oprócz wymienionych 7 sztuk zabito jeszcze dwie sztuki, ogółem dziewięć; z tych jeden był samiec, reszta samice.

Austrjackie stowarzyszenie dla zniesienia niewolnictwa w Afryce zamierza na cele swego przedsięwzięcia urządzić olbrzymi festyn wiosenny w Praterze. Festyn ten będzie przedstawiać ludy afrykańskie, ich życie i obyczaje i cały Prater stosownie udekorowany zamieniony zostanie na rozmaite kraje i części Afryki. A więc będzie tam wioska murzyńska, koczowisko Arabów, osada Boerów, egipska stacja nadgraniczna, Kraal Hottentotów, Oaza na pustyni, targ w Tantaya, podróżujący Szeik z rodziną, mieszkańcy Dahomeju, arabscy handlarze niewolnikami, Marokania, mieszkańcy Zachodniej Afryki i t. d. Właściwy pochód będzie uszykowany w Rotundzie i ztamtąd wyruszywszy przez główną aleję obejdzie cały Prater poczem pojedyńcze grupy, każda w właściwych swoich mieszkaniach, będą wedle obyczajów szczepu jaki przedstawiają zabawiać się. Wszystkie kawiarnie i restauracje będą w afrykańskim stylu udekorowane; szynk murzyński, kawiarnia arabska, egipski zajazd, turecki hotel, i tym podobne będzie można oglądać i w nich spoczynek i posiłek znaleść. Nadto urządzone będą i najrozmaitsze niespodzianki i zabawy dla uciechy ludu, tombole, produkcje wokalne, tańce, sztuki kuglarskie i wiele innych. Całe stowarzyszenia, rozmaite kluby i mnóstwo osób prywatnych zgłosiło się z chęcią wzięcia udziału w pochodzie.

Wybryk natury. W Warszawie pokazuje się teraz młoda olbrzymka, dziecko prawie bo liczy dopiero lat 11 ale wzrostem dochodzi do trzech arszynów (to jest 2 metry 25 ctm.) a waży do 7 pudów. Nie zwykły ten okaz pochodzi z miasteczka Krasnokucka w gubernji charkowskiej i udaje się do Paryża, gdzie się pokazywać będzie na wystawie. Rodzice i rodzeństwo olbrzymki nie różnią się bynajmniej wzrostem od zwykłych śmiertelników.

W Paryżu na wystawie malarzy kobiet urządzonej w pałacu przemysłowym, odznaczają się prace Polek pań Edy i Elly Potkańskich (pod pseudonimami Speranza i Rubis). Panie te otrzymały już na wystawie w Londynie złoty medal.

Russofilizm na katedrze. Katedrę w Collége de France w Paryżu, z której ongi wykładał Adam Mickiewicz, zajmuje od dość dawna p. Leger, uczony, gruntownie obeznany z literaturą języków słowiańskich a zwłaszcza polską. — W latach poprzednich wykłady jego odznaczały się zawsze szczerą sympatją do Polski, a w skutek tego chętnie uczęszczali na te wykłady Polacy bawiący stale lub czasowo w Paryżu.

W tym roku podobnie jak dawniej ogłosił prof. Leger dwa kursa; jeden z filologji słowiańskiej, drugi zaś (szczególnie nas obchodzący) „historję cywilizacji w Polsce". Ale niestety miłość do Rosji przeniknęła już tak głęboko wszystkie umysły i serca we Francji, że i profesor Leger próbuje już teraz grać na nutę rosyjską.

Oto co o tych jego wykładach pisze jeden z naszych rodaków mieszkających stale w Paryżu:

Z ciekawością wchodzimy do małej amfiteatralnej salki, aby usłyszeć, jak o nas mówią, jak określają naszę indywidualność, jak przedstawiają przeszłość Polski i cywilizacyjne jej stanowisko na pograniczu między zachodnim a wschodnim światem.

Słuchaczy niedużo, ale zawsze kilkanaście zbierze się osób, więc jest do kogo mówić. A warto się rozpatrzeć bliżej w audytorjum, bo dość charakterystyczne. Widzimy posiwiałych weteranów, którzy niezawodnie swego czasu uczęszczali regularnie na kursa Adama, i dziś może spieszą do Collége, aby odświeżyć wspomnienia, a może i dla pietyzmu wobec katedry, na której genjalny wieszcz narodowy mówił. Widzimy tu także sporo pań, które skrzętnie notują co ciekawsze i co na obczyźnie pierwszy raz dopiero usłyszały.

Nie brak i studentów coraz liczniejszych w Paryżu. A nawet Rosjanki pragną widocznie dowiedzieć się czegoś o Polsce. Za to studentów Polaków bardzo

---

jają żadnego drobiazgu, żadnego charakterystycznego rysu, któryby ujawnił ich stanowisko towarzyskie.

Idzie im o wpojenie przeświadczenia w czytelników, że tak rodzina królewska jako i najwyższe koła arystokracji, świat inteligencji, pieniędzy i tych warstw, które w oczach angielskich monopolizują *respectability*, wszyscy traktowali panią i p. Bancroft jako równych sobie towarzysko, a wysoko pożądanych i sympatycznych przyjaciół. Jest to widoczna przesada, naciąganie i pomijanie odwrotnej strony medalu, ale nie mniej wiele szczegółów, podanych w tych pamiętnikach, świadczy o przewrocie, jaki się pod tym względem dokonał w łonie towarzystwa angielskiego.

Istotnie, aktorzy przestali być w Anglji klasą wyklętą i można powiedzieć, że pozyskali zupełnie prawo obywatelstwa. Wiele powodów złożyło się na to. Z jednej strony polepszenie i uregulowanie materjalnego stanowiska aktorów przyciągało do sceny klasy średnie, szukające produkcyjnego zajęcia; z drugiej — przyzwoitość repertuaru teatralnego pozwoliła córkom nieposzlakowanych rodzin wejść na scenę i podnieść jej diapazon moralny. Są naturalnie w pośród coraz liczniejszych teatrów londyńskich i zapełniającej je rzeszy aktorskiej jednostki ujemne; ale nikt już nie czyni za nie odpowiedzialnym całego zawodu. Zbliżenie nastąpiło i możnaby przytoczyć mnóstwo jego dowodów. Samo z siebie się rozumie, że artyści genjalni jak Henryk Irving i jego towarzyszka, Ellen Terry, używają wyjątkowego stanowiska. Nie ma klubu wyłącznego, ani korporacji, nie ma literackiego, ani artystycznego salonu, gdzieby się o Irvinga nie dobijano. Ale szczególniej o kobiety tu idzie. Dopiero gdy aktorki przyjmowane będą w nieposzlakowanych kołach towarzyskich, jako istoty równe i traktowane z poufałością naturalną pomiędzy ludźmi jednego poziomu, wtedy dopiero przewrót dokonanym będzie całkowicie. Towarzystwo angielskie poczyniło wielkie kroki ku urzeczywistnieniu tego celu. Z okazji srebrnego wesela księstwa Walji, panie Keudall i Bancroft, przesłały podarki następczyni tronu i otrzymały od niej przyjacielskie listy w odpowiedzi. Są salony, jak salon słynnej pani le Jenne, spokrewnionej z najwyższą arystokracją, gdzie co wieczór wobec kwiatu inteligencji stolicy i świata dworu zapraszane bywają aktorki, nie dla przedstawień, ale jako pożądane nabytki dla kół towarzyskich. Przykład ten, dany z góry, znajduje i znajdować będzie coraz częstsze echo. Karol Lamb w swych słynnych studjach nad światem dramatycznym epoki Restauracji, wykazał że atmosfera sztuczna, w jakiej się obracają aktorzy upoważnia ich do utworzenia sobie odrębnego kodeksu moralności. Obecnie obrona podobna staje się zbyteczną. Zdarto z nich maskę, obmyto ich z różu i bielidła i zobaczono w nich ludzi takich samych, jak inni, tak samo za swe czyny odpowiedzialnych wobec społeczeństwa.

Jeżeli pamiętniki pp. Bancroft przekonywają nas o urzeczywistnianiu stopniowem tego równouprawnienia aktorów, to do innego dojść można wniosku, czytając niedawno wyszłe „Pamiętniki Maplesona." Słynny impresarjo kreśli w dwóch, nadzwyczaj zajmujących tomach, wspomnienia swego zawodu, obfitego w wypadki. Książka obejmuje perjod od 1848 do 1888 roku. Mamy tu do czynienia nie z aktorami, ale ze śpiewakami, nie z ludźmi do innych ludzi podobnymi, ale z fenomenami, nieledwie z potworami społecznymi. Nie należy się też dziwić, że znajdujemy się w obec całkiem innego kodeksu moralnego, że kroczymy nie po utartym gościńcu, ale w fantastycznej krainie kaprysu i wybryków, podniesionych do znaczenia systematu.

Mapleson zaczął swój zawód muzykalny jako uczeń królewskiej Akademji Muzyki, był skrzypkiem w teatrze *Her Majesty's* za świetnej epoki Jenny Lind; był kompozytorem i krytykiem w tygodniku *Atlas*; jako tenor kształcił się przez trzy lata we Włoszech i wystąpił na scenach włoskich i angielskich. Stracił jednak głos niebawem i uwieńczył swój zawód, zostawszy przedsiębiorcą i organizatorem opery. Jako impresarjo, zasłynął szeroko po obu półkulach; Strakosch, Abbey Gye i kilku innych rozgłośnych dzisiaj jego współzawodników idą tylko po drodze, na której on wytknął słupy wiorstowe. Mapleson, z prawdziwie angielskim humorem, opsuje swoje przygody i kreśli trudności swego zawodu. Nie lada kto może być impresarjem! Celować powinien jako lingwista, torujący sobie drogę w pośród tej babilońskiej wieży języków; jako stylista, powinien kreślić programaty i pisać sobie reklamy wymowne; ale przedewszystkiem powinien być dyplomatą umiejącym lawirować w pośród niezwyciężonych trudności i zachować nieugiętą żelazną wolę pod uprzejmym uśmiechem i niezamąconą układnością. Żadna nieprzewidziana okoliczność nie powinna go znaleść nieprzygotowanym; strategiczne pomysły, zawsze nowe, kreślić powinny plan zwycięstwa nazajutrz po przegranej bitwie. Jak pogromca lwów nie może spuścić ani na chwilę w żelaznej klatce rozjuszonych zwierząt z pod swego bystrego oka, aby nie być przez nich pożartym, tak impresarjo powinien być zawsze czujnym i elastycznym wśród swych tenorów i sopranów. Publiczność ani wie, ani się domyśla walk i wysiłków, jakich wymaga ułożenie codziennie tego barwnego bukietu, który ją czaruje swym blaskiem. Gdy nas p. Mapleson prowadzi za kulisy swej opery, wydaje się nam ona piekłem, a jej boginie czarownicami!

Widząc przesuwające się przed nami sylwetki gwiazd śpiewu, jak pani Titjen, Gerster, Patti, Nillson, Lucca, Albani, Newada, Sembrich etc., albo śpiewaków, jak Giuglini, Masini, Ravelli, Fancelli, Gayarré etc.. niepodobna traktować tych znakomitości artystycznych, jak zwykłych śmiertelników. Od razu widzimy, że uważają się oni za unoszących się po nad sferą ludzkości, nie czują się obowiązani poddawać się obowiązującym prawom i przepisom. Ich widzimisię, kaprys, przesąd, uprzedzenia — są nienaruszoną świętością. Są to po prostu popsute dzieciaki, którym się zdaje, że im wszystko wolno. Czem wyższa skala ich głosu, tem większą jest ich ekscentryczność. Można jeszcze ugłaskać basów i barytonów, można żyć w spokoju z kontraltami, ale Boże uchowaj od sopranów i tenorów!

Niepodobna dać ścisłego obrazu tego śpiewającego świata teoretycznie. Trzeba czytać ten szereg nieocenionych anegdot, w które obfitują „Pamiętniki Mapleson'a", aby sobie o nim zrobić wyobrażenie. Tu rywalizacja pomiędzy śpiewakami przybiera rozmiary homeryczne i wielkość liter z ich nazwiskami na afiszach staje się kwestją stanu; tu głupota śpiewaków pokazuje się w komicznem świetle, jak n. p. tenora Fancelli, który przyznał się naiwnie, że śpiewając od lat dwóch rolę Jazona w „Medei", nie wie jeszcze, czy Jazon był ojcem, bratem czy kochankiem Medei; tu reklamy, których wymagają śpiewaczki jak Nillson; tu chciwość nieprawdopodobna, jaka odznacza Adelinę Patti. O tej ostatniej są tu niewyczerpane kopalnie rysów charakterystycznych.

Szukając racji bytu tych kaprysów i wybryków śpiewaków płci obojej, niepodobna nie zaznaczyć, że są to fenomenalne istoty, każące cenić w sobie wyjątkowy dar natury. Praca nie uzacnia ich i nie wykształca, jak innych artystów; hołd składany ich głosowi otumania ich i oślepia; nie widzą potrzeby poddać się moralnemu hamulcowi. Sypać im kwiaty, oklaski i pieniądze, których są żądni, oto, cośmy dać im w obowiązku, ale byłoby niesprawiedliwością uznawać ich za zasługujących na tę sympatję, jaką wywalczyli sobie już obecnie aktorzy, godnością życia, pracą i wykształceniem.

mało, prawie wcale ich nie widać. Prawda, przypominam sobie doskonale, że i w kraju i w uniwersytetach niemieckich, gdzie są katedry języków słowiańskich, młodzież nie kwapi się zbyt z uczęszczaniem na wykłady niełączące się ze studjami narodowemi. A jednak nieobecność młodzieży uderzała mnie od razu i nie z powodu jakiejkolwiek słabości do „białogłów“, tylko zupełnie bezinteresowną miłością prawdy powodowany muszę skonstatować, że w audytorjum przeważała „płeć piękna“.

Własne prace nie pozwoliły mi regularnie uczęszczać na kursa, nie mogę więc dokładnie streścić wszystkiego, co powiedziano o cywilizacji w Polsce. Zresztą głównie zależy nam na tem, aby poznać zasadnicze myśli profesora, dyspozycję i sposób traktowania rzeczy. Pan Leger w kilku pierwszych i niejako wstępnych prelekcjach przedstawił polityczną historję Polski, szczególną zwracając uwagę na prawodawstwo Kazimierza Wielkiego.

Statut wiślicki ściślej poddał analizie, i to — co nas szczególniej interesuje — z pomocą takiej powagi jak znany i sławny uczony Dareste de Chavanne, autor znakomitych dzieł historycznych i prawnopolitycznych. Francuski uczony z wielkiem wyrażał się uznaniem o pomnikowem dziele „Króla kmiotków“, uważając statut ten za jeden z najciekawszych i najważniejszych zabytków XIV wieku, o czem my sami już dawno wiedzieliśmy. Pan Leger polegał na sądzie całkiem kompetentnym swego ziomka; a dobrze zrobił, że pracę prawodawczą wielkiego króla przedłożył ocenie uczonych francuskich, zwracając mu może po raz pierwszy uwagę na dzieło, świadczące chlubnie o Polsce „murowanej“ a już nie „drewnianej“.

Pan Leger chwalił działalność Kazimierza we wnątrz kraju; natomiast z mniejszem wyrażał się uznaniem o kolonizacyjnej jego polityce na wschodzie, o okupacji Rusi Czerwonej. Ale ostatecznie zdawał się godzić na to, że posuwanie zagonów na wschód wypływało z ówczesnego położenia; że tego domagał się interes państwa, poszkodowanego na zachodzie. Za zasadniczy błąd i walną przyczynę upadku Polski uważał jednak unję Polski z Litwą. Polska, zdaniem jego, niepotrzebnie się zaangażowała na wschodnich swych kresach i podjęła zadanie, któremu nie mogła sprostać. (?)

Praca kolonizacyjna utrudniała skupienie sił narodu i rozrywała węzły wewnętrznej organizacji. — W ogóle Polska w nieswoje wdała się rzeczy, zapuszczając się za daleko na północny wschód, w kraje, które z n a t u r y r z e c z y nowopowstającej potędze północnej w udziale przypaść musiały, które skazane były na Moskwę.

Jeżeli dobrze zrozumieliśmy profesora, to Polska powinna była zamknąć się w granicach, jakie ostatni zostawił Piast. Poświęcenie szlachetne Jadwigi, chrzest Jagiełły, chrzest Litwy ze źródła zachodniego, przyjęcie jej do cywilizacji zachodniej, unja w Lublinie zawarta, wszystkie czyny i wypadki, które świetną stanowią kartę dziejów Polski i niespożytą jej są zasługą, uważać należy za błędy, za płonne szamotanie się z potęgą która ostatecznie zwyciężyła i pracuje systematycznie i bezwzględnie nad tem, aby zdeptać, zniszczyć owoce trudów licznych pokoleń, aby zatrzeć ślady polskiej cywilizacyjnej pracy na Wschodzie, na Litwie i Rusi. Nie! praca ta zostanie naszą zasługą; jeszcze też nie zmarniała powimo potężnej presji i barbarzyńskiej, krwawej gospodarki. Nie rozumiemy dziejów Polski bez jej zasług cywilizacyjnych właśnie w tych krajach, które dziś najwięcej narażone na zagładę.

Przedstawiwszy polityczną historję Polski, stanowiącą niejako tło do historji cywilizacji, przystąpił prof. Leger do skreślenia literatury polskiej i łacińskiej. — Na jednej z ostatnich godzin była mowa o Długoszu, którego p. Leger postawił obok historyka włoskiego Guicciardiniego.

Kto znał Szujskiego świetną rzecz „O stanowisku Długosza w historjografji“, ten w wykładzie paryskiego uczonego uczuwał brak głębokiego wniknięcia w indywidualność Długosza, który stał na przełomie dwóch światów: średniowiecznego i nowoczesnego; który z tęsknotą zwracał się ku minionym wiekom, ku dawnym obyczajom, a mimo to sam już był synem swej epoki: odrodzenia. Otóż tego charakteru Długosza nie uwydatnił wcale profesor, który głównie opierał się na pracy dra Semkowicza, zaznaczając ile Długosz z obcych czerpał kronik i historyków.

W ogóle wykłady prof. Leger są uczonem zestawieniem nagromadzonych pilnie notatek, ale nie ma w nich ani polotu ani głębszego ujęcia rzeczy. Nie dopatrzyłem się w nich umyślnej stronniczości, ale niektóre jego poglądy w dobrej wierze wygłoszone, przedstawiają w fałszywem świetle cywilizacyjne znaczenie Polski.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** („Sprawa Clémenceau“ dramat w 5 aktach Al. Dumasa, — przedstawiony na scenie lwowskiej 13 marca r. b.).

Na odmianę po tłustych farsach i banalnych operetkach, uraczono nas wczoraj preparatem z dumasowskiego laboratorjum, w którem jak światu wiadomo od pół wieku blisko gotuje się i przegotowuje, przerabia na wszelkie możliwe formy, odgrzewa i znowu przegotowuje jeden i ten sam, a zawsze wstrętny temat wiarołomstwa małżeńskiego. Na nim też oparty jest romans „Sprawa Clémenceau“ przed laty dwudziestu z górą w Paryżu wydany, a następnie przez autora wspólnie z niejakim p. d'Artois na scenę przerobiony. I utwór powieściowy i sceniczna jego przeróbka miały swego czasu w stolicy Francji wielkie powodzenie, co i nie dziw, bo było to w epoce która poprzedziła sromotny upadek drugiego cesarstwa, i hańbę sedańską. Dzisiaj mimo że belletrystyka i dramat francuski w pewnych kierunkach — w cynizmie — jeszcze dalej poszły, wątpić należy, czy który z większych teatrów paryskich odważyłby się na wznowienie „Sprawy Clémenceau“.

Nie dawno na jednej z uroczystości Akademji francuzkiej prezydent Greard nie miał dość silnych słów potępienia dla całego kierunku naturalistycznego, a wytworny krytyk z *„Revue de deux mondes“* pisząc o znanej z opisu czytelnikom naszym najnowszej komedji Wiktora Sardou p. t. „Margrabina“ odesłał ją z Vaudeville'u do „Théâtre Libre“ gdzie rzeczywiście wszelkiej swobodzie otwarto już jak najszersze granice...

Podczas jednak, gdy w Paryżu, który tak chętnie a bezmyślnie naśladujemy, już się reakcja budzić poczyna, my snać w poczuciu, żeśmy jeszcze nie przetrawili całej filozofji nowożytnego Babilonu, przeżuwamy te pierwsze preparaty dumasowskiej szkoły, z której wyszli: dziś na szczęście nawrócony Zola i cyniczny bez granic Catulle Mendez...

W „Sprawie Clémenceau“ — o której niestety pisać wypada — słynny autor aksjomatu „namiętność nie rozumuje“ zanalizował psychologicznie kobietę-potwora, ukazał całą nicość moralną kobiety, do której — gdyby to istotnie profanacją ideału największego naszego poety nie było — możnaby zastosować znany wiersz Mickiewicza:

„Kobieto, marny puchu...
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli...
Przebóg, tak ciebie oślepiło złoto.

Ale analizy owej dokonał Dumas w sposób tak dwuznaczny, że awanturnica ostatniego rzędu, jaką w istocie jest bohaterka dramatu Izabeli Dobronow, wyrasta wkońcu na heroinę, otoczoną glorją męczeństwa. Kobieta, która — według własnych słów autora, wyrzeczonych przez usta Konstantego Ritza, jednego z aktorów tej sztuki — powinna była skonać gdzieś na śmietniku lub w szpitalu ginie otoczona królewskim przepychem, ginie z rąk ukochanego a bezczelnie zdradzonego człowieka, kończy śmiercią, którą ongi bohaterka starożytności pobłogosławiła serdecznym i prawdziwym okrzykiem *„Non dolet!“*

Oto charakterystyka i bohaterki i sztuki, która cała wygląda na apoteozę zepsucia i egoizmu; w której ohyda moralna formalnie kokietuje publiczność pozorami najpowabniejszych wdzięków, a gdy oburzony do najwyższego stopnia widz wyczekuje satysfakcji za niesmak jakiego doznać musiał, otrzymuje wkońcu brutalną zemstę zdradzonego męża i myślami odprowadza go do... kryminału.

W bardzo szczegółowe sprawozdanie ze sztuki wdawać się trudno, naszkicujemy tu treść jej tylko pokrótce.

Piotr Clémenceau, dziecię pierwszej i jedynej miłości kobiety oszukanej a następnie opuszczonej, wychowuje się pod skrzydłami matki na dzielnego chłopaka z ognistą duszą artystyczną, na dnie której nurtuje jeno nieskończone pragnienie sławy i święta miłość dla matki. Wielki istotnie talent, a nic innego, pomaga mu do przebijania się przez świat; szlachetne serce jedna szlachetnych przyjaciół w osobach mistrza sztuki rzeźbiarskiej Ritza i jego syna Konstantego. Pełen idealnych na świat poglądów, wierzy że opatrzność pozwoli mu spotkać na drodze życia kobietę, która zadowolni jego serce i duszę zarazem, pokocha człowieka, odczuje i zrozumie artystę

Odrzuca on propozycję bogatego małżeństwa z osobą nieznaną, właśnie dla owej wiary swojej a i dla tego, że nosi w piersi damę szlachetną, która jemu, ubogiemu i z pospolitem nazwiskiem artyście, nie pozwala na związek taki, mimo, że przy środkach materjalnych prędzej i łatwiej mógłby się dobić znaczenia i sławy. Niestety, pessymizm autora, ten ojciec dzisiejszego wstrętnego realizmu (jak powiada Hausrath, w pomieszczonych niedawno w *Deutsche Rundschau* „Uwagach profana“) pessymizm autora już z góry przepowiada Piotrowi przez usta Ritza: „Jesteś uczciwym chłopcem — zanadto uczciwym i dla tego masz aż nadto warunków, aby być nieszczęśliwym“... I z tego punktu zapatrywania na świat wychodząc, sprowadza autor na drogę życia Piotra Clémenceau kobietę, właśnie taką, którąby tę przepowiednię sprawdziła. Na balu kostjumowym u mistrza swego poznaje Piotr uroczą hrabiankę Izę. Wraz z matką, awanturnicą, spekulującą na bogate ożenienie córki, przybyła ona z Petersburga, skąd ją władze wydalić miały z powodu, iż zadurzył się w niej niepełnoletni Sergjusz Wojnow, przyszły dziedzic wielkich majątków, którego rodzina nie chciała się jednak zgodzić na związek z rodziną bardzo podejrzaną. W Paryżu mieszka „hrabina“ Dobronów w jednej z odleglejszych dzielnic miasta, na czwartem piętrze, żyje „cudem“ — lecz mimo to prowadzi córkę na wszystkie bale, teatra i t. d. Iza jest rzeczywiście wzorem cielesnego piękna, które w męskim kostjumie debardera na balu u Ritza należycie uwydatnione, rozpłomienia wyobraźnię artysty. Ujrzał ją w zręcznie przybranej pozie, objął wzrokiem — „a za tym zmysłem co kochać przymusza, poszło i serce, a za sercem dusza“. — Po balu odwiedza Piotr Izę w jej mieszkaniu. Wizyta ta, której się matka i córka święcie spodziewały, wypada tak, że matki nie ma w domu, a córka w najniezbędniejszym tylko negliżu, udając zajętą badaniem wyroczni z kart, przyjmuje rozkochanego młodzieńca. Oczywiście niebawem nadchodzi matka i odgrywa naprzód komedją oburzenia na córkę, potem komedją ubóstwa. Naiwny artysta tak wierzy wszystkiemu, że jakkolwiek sam ubogi ofiaruje jednak biednym pożyczkę. Niebawem stosunek Piotra do Izy przybiera wyraźniejsze kształty. Wprawdzie przybył do Paryża Sergjusz, trwający niezmiennie w uczuciu miłości dla Izy, ale z uwagi, że chłopak ten nie jest jeszcze pełnoletni, postanawiają matka z córką dać mu odprawę a przyjąć Piotra Clémenceau — ponieważ na razie nie ma nic lepszego.— Piotr żeni się tedy z Izą. Szczęśliwy, kochany, pracuje, tworzy arcydzieła rzeźby, do których jako model pozuje mu żona. Ale to trwa niedługo. Jej za ciasnem życie skromnego, jakkolwiek sławnego artysty, jej szeroka natura pragnie blasku i przepychu— w marzeniach nawet po koronę sięga. Sergiusz tymczasem osiąga pełnoletność, staje się panem olbrzymiego majątku. Do niego więc udaje się Iza z propozycją, którą młody Rosjanin chętnie akceptuje, hojności swojej wcale nie kładąc tamy. Zaślepiony Piotr nie widzi, że coraz to większe dostatki materjalne w jakich opływa, nie są owocem li jego pracy usilnej, aż dopiero przypadek otwiera mu oczy. Zrywa tedy z żoną — ucieka do Rzymu, oddaje się pracy przynoszącej mu ulgę i zapomnienie chwilowe.

Tymczasem Iza staje się coraz więcej „modną“ w Paryżu, porzuca Sergjusza i zyskuje względy jakiegoś monarchy. Jest u celu swych marzeń. Żyje w kupionym dla niej umyślnie pałacu, w brylantach i złocie kąpać się może. Jednego tylko jeszcze brak uczuwa — prawdziwej miłości Piotra. Przywołuje go tedy do Paryża — i z całym cynizmem opowiada mu swoję karjerę. Piotr, zrazu pod wrażeniem jeszcze bardziej rozwiniętej piękności Izy ulega jej urokom, ale wrychle cyniczna propozycja budzi w nim wstręt i pogardę, a gdy namiętnością rozżarta, zniża się przed nim na kolana, nie chcąc jednak zerwać haniebnych więzów bogactwa i przepychu, Piotr uniesiony żalem całego złamanego życia przebija ją nożem, wołając: „zabiłem potwora!“

Pominęliśmy rzeczy poboczne i wiele epizodów, charakteryzujących przewrotność Izy, jak to, że za pomocą piekielnie ukartowanej intrygi osłania się w obec matki Piotra szatą anielskiej niewinności, a następnie przypadkowo zdradza, i tem właśnie nieszczęśliwą chorą matkę Piotra dobija, i t. p. W ogóle treść wyżej podana upstrzona jest mnóstwem realistycznych efektów, silnych drastycznością swoją i nazywaniem rzeczy po imieniu...

Przedstawienie wypadło nadzwyczaj starannie począwszy od obsady i oddania ról, aż do garderoby i wystawy.—Artystka grająca główną rolę (Izy), pani Żelazowska, oddała ją z wielką swobodą i naturalnością, a co do drastycznych kostjumów starała się dojść do idealnej precyzji. — Piotra grał z głęboką prawdą p. Wolński, a z licznych ról innych, przez najlepszych naszych artystów przedstawionych (pp. Kwieciński, Zboiński, p. Cichocka) zasługuje na wyróżnienie p. Gostyńska, która rolą matki Piotra — jakkolwiek nie w jej zakresie leżącą — wielki osiągnęła sukces.

R. P.

Część ekonomiczna.

= **Na wtorkowy targ nierogacizny w Wiedniu** dowieziono ogółem 9021 sztuk, w tem galicyjskich 6547. Płacono towar ciężki po 50—52 zł. średni po 45—50 zł. za 100 kilo żywej wagi bez opłaty akcyzowej.

= **Ceny nafty.** Wiedeń, galicyjska loco prompt 20.75 do 21.75 zł. — Hamburg loco 6.30. — Brema loco 6.35. — Antwerpja loco $17^1/_8$.

Wiedeń 12 marca.

Stanowczo potwierdzona dziś wiadomość z Paryża, że tameczny Rotszyld powróciwszy z Cannes stanął na czele komitetu ratunkowego, wywarła bardzo dobre wrażenie tak na giełdę paryską jak na wszystkie targi pieniężne Europy.

Wieść ta rozpowszechniona wczoraj wieczorem w Paryżu podniosła bezzwłocznie kursa „des Metaux“ i reszty instytucyj, mających czucie z syndykatem miedzi. Spekulacja bulwarowa wierzy w szczęśliwą rękę Rotszyldów i już odddawna nie wróżyła powodzenia „Kupferringowi“, bo wiedziała, że ci potentaci finansowi nie umaczali rąk w tej spekulacyjce. Dziś zatem widząc Rotszylda obejmującego kierunek w akcji sanacyjnej ślepo uwierzyła, że zażegnanie katastrofy jest możebne, a uwierzyła tem silniej, kiedy doniesiono, że baron Alfons płaci zapadłe akcepty syndykatu miedzianego i podejmuje się nietylko uratować „Comptoir d'Escompte“ i „Banque de Paris“, ale nie dozwoli na upadek „Société des metaux“ i na rozluzowanie się zupełne handlu miedzią.

Z stron dobrze poinformowanych głoszono, że plan sanacyjny przedłożony przez Rotszylda komitetowi ratunkowemu, zasadza się na tem, iż kopalnie miedzi umniejszą miesięczną produkcję z 12 na 8 tysięcy tonn i zadowolnią się ceną 45—50 funtów szter. za tonnę, zamiast dotychczasowej 65—70 funtów, które płacił im syndykat.

Jest to oferta do przyjęcia, gdyż nie dawniej jak przed trzema laty brały kopalnie tylko po 30—35 funtów za tonnę, a i ta cena opłacała sowicie koszta produkcji. Dalsza część projektu polega na tem, iż syndykat własny zapas miedzi, wynoszący 150.000 tonn, za który zapłacił około 280 mil. franków, musi odsprzedać zawiązać się mającemu nowemu towarzystwu akcyjnemu z silnym kapitałem obrotowym za zniżoną cenę około 180 mil. franków, a stratę 100 miljonów poniosą „Société des metaux“ w wysokości 40 procent, „Comptoir d'Escompte“ w wysokości 25 prct., a ów S e c r e t a n, nieszczęśliwej pamięci inicjator spekulacji w miedzi, i jego wspólnicy pokryć mają resztę straty.

Projekt ów ocenia świat finansowy jako jedynie praktyczny tak dla kopalni, bo ceny miedzi i tak już znacznie spadły i zeszły w Londynie na 52 funtów za tonnę, jak dla „Comptoir d'Escompte“, który wyjdzie z tej katastrofy z utratą całej swojej rezerwy (20 mil. franków) i ze stratą 15 miljonów z kapitału akcyjnego, lecz pozbywszy się balastu miedzi zachowa tyle soków żywotnych, aby módz istnieć dalej.

Oto krótka treść otrzymanych z Paryża wczoraj wieczorem i dziś rano wiadomości. Jak już wyżej wspomniałem, oddziałały one nader pomyślnie na usposobienie bulwarowej spekulacji i już wczorajsze wieczorne kursa paryskie i frankfurckie wskazywały znaczne polepszenie. To oczywiście podziałało podniecająco na naszę giełdę. Żwawa repryza przy silnym popycie rozwijała się od rana i przybierała z każdą godziną większe rozmiary.

Szły więc w górę najpierw te akcje bankowe — jak Bodenkredyty i Länderbanki — które najściślej złączone są z Paryżem, a za niemi reszta naszych średnich banków, którym przyświecały wysokie tegoroczne dywidendy. W ruchu tym brały udział Kredyty a dalej akcje kolejowe i przemysłowe. Z zamknięciem notowania stanęły na tym poziomie, iż prawie wyrównano straty z dni poprzednich.

Oto ostatnie notowania:

Kred. austr. 302·75, węgier. 307·75, anglob. 130·25, uniony 231·25, bankvereiny 109·80, länderbanki 224·—, ludwiki 204·75, czerniowiec. 228·50, renta papier. 83·15, srebrna 83·75, austrj. złota 111·45, papier. 99·25, węg. złota 101·40, papierowa 94·—.

Ruble $1·28^3/_4$ zł.

Telegramy „Przeglądu“.

Paryż 14 marca (pryw.) Sprawa Miedzianego Pierścienia weszła w nowy okres, bardzo przykry dla rządu i potentatów finansowych. Drobni kapitaliści, którzy potracili na spadku kursów, stali się doskonałym materjałem w rękach antisemitów. Pojawiły się ulotne świstki, oskarżające żydów o rozmyślne doprowadzenie do krachu. Na bulwarach wzburzenie, przed giełdą krzyki i przekleństwa. Antisemici rzecz tak przedstawiają: Dom Rotszyldów był moralnym inicjatorem Miedzianego Pierścienia, nawet sam się zaangażował na sto miljonów franków, ale z tem wyrachowaniem, żeby zbankrutowały wszystkie mniej potężne finansowo chrześcijańskie instytucje. Stratę swoję dom Rotszyldów wnet pokrył, skupiwszy po tanim kursie, podczas paniki, akcje *Société des metaux* i nabywszy za bezcen ogromne zapasy gotowej miedzi, której cenę następnie podniesie. Obliczają, że ta wyrafinowana gra rotszyldowców dała im kosztem majątku francuskiego kilkaset miljonów zysku.

O ile z faktów sądzić można, takie przedstawienie rzeczy jest zupełnie zgodne z prawdą. Przebiegłość i bezwzględność domu Rotszyldów wywołuje straszne oburzenie. Publiczność ze zgrozą się przekonała o potędze żydowskiego kapitału, który bez litości i bez oglądania się na moralność zastawia sieci na majątek narodu. W ciągu kilku dni antisemityzm zdobył silny grunt w społeczeństwie. Może przyjść do akcji nieobliczonej w skutkach.

Rzym 14 marca (pryw.) Pod wpływem wiadomości z Paryża, dzienniki opozycyjne wystąpiły przeciw stałemu forytowaniu żydów przez króla i rząd. Wołają o sanację, wykazując, że finanse nie mogą być w porządku, skoro na stan ich wpływają żydzi. — W istocie, Włochy, wyparłszy się katolicyzmu, stały się królestwem żydowskiem. Wice prezes parlamentu Maurogonato, prezes komisji budżetowej Luzzatti, mnóstwo senatorów i większa część profesorów we wszystkich uniwersytetach są żydzi. Opozycyjne dzienniki wzywają naród do bronienia się od semickiej powodzi przez zakładanie odpowiednich stowarzyszeń.

Sofja 14 marca (pryw.) Okólnik rządu do prefektów wskazuje na wypadki w sąsiedniem królestwie serbskiem. Wypadki owe mogą najniesłuszniej rozzuchwalić wszystkie przewrotne żywioły w kraju i na granicach jego. Poleca się zatem prefektom powiększyć czujność i w wykonywaniu przepisów o porządku publicznym okazywać bezwzględną surowość.

Na oświadczenie rządu, że synod może się zebrać tylko pod warunkiem, iż złoży czołobitność księciu i w listach pasterskich ogłosi swą lojalność, metropolita dotąd nie odpowiedział.

Wiedeń 13 marca. Wieczorne posiedzenie Izby posłów. W dalszym ciągu rozprawy budżetowej mianowicie przy tytule: „Administracja polityczna, wydatki podczas epidemji i epizootji“, pos. Gion żądał łagodniejszego zastosowywania postanowień tyczących się przepędzania bydła przez granice niemieckie. Następnie oświadczył mówca, że to co powiedział Ferjancic o marszałku krajowym Karyntji, jest nieprawdą i konstatuje, że ludność słoweńska Karyntji nic nie chce wiedzieć o wielko-słoweńskich agitacjach.

Pos. Pfeifer użalał się, że postanowienia co do zapobiegania epidemiom ospy w Krainie nie wystarczają.

Szef sekcyjny Erb wykazywał statystycznie, że skargi na słaby wywóz bydła nie są usprawiedliwione, a przechodząc z kolei do omawiania postanowień sanitarnych w Krainie, powiada, że doświadczenie pouczyło, iż gminy, które w obec zagrażających epidemij przedsięwzięły natychmiast przepisane środki, nie czekając dopiero na wdanie się w to władz politycznych, nie zostały dotknięte żadną epidemją.

Poczem zabrał głos pos. Krauss i podniósł, że reforma całej politycznej administracji jest konieczną: namiestnictwa i starostwa obciążone są niezmiernie pracą, a do ich licznych czynności dodano także sprawy o taksach wojskowych i o kasach szpitalnych dla chorych robotników. Również zanadto wiele żąda się od naczelników gmin. Dalej uskarżał się mówca na zbytnie wyszczególnienie szlachty w karjerze urzędniczej.

Na to odpowiedział prezes ministrów hr. Taaffe, oświadczając przedewszystkiem, że dawno już byłby przystąpił do rekonstrukcji administracji politycznej, ale że musi się z tem wstrzymać, aż się poprawią finansowe stosunki. Rekonstrukcja ta będzie bowiem kosztowała pieniędzy. A co się tyczy wyszczególniania szlachty — powiada hr. Taaffe — to jestem stanowczo wrogiem wszelkich protekcyj. Że synowie urzędników zostają także urzędnikami, to jest to przecież rzeczą całkiem naturalną. Również zdarza się często, że starsi urzędnicy otrzymują za położone przez nich zasługi najwyższe wyszczególnienia, w skutek czego bywają wyniesieni na podstawie dawniejszych postanowień do stanu szlacheckiego. Jest zatem rzeczą jasną, że tym sposobem dzieci czcigodnych obywatelskich rodziców, wyniesione zostały do stanu szlacheckiego. „Ale zarówno one nie są temu winne, jak też i ja nie jestem temu winien“ — dodaje hr. Taaffe (wesołość w Izbie). Wreszcie jest rzeczą pożądaną, aby więcej osób należących do szlachty, ba nawet należących do arystokracji, zgłaszało się do urzędów, ponieważ przez to osiągną lepsze wykształcenie, potrzebne dla publicznego i parlamentarnego życia, aniżeli w kasynach lub dżokiej-klubach.

Poczem prezes ministrów stanowczo wystąpił przeciw sposobowi, w jaki omawiano w Izbie działalność policji, i położył na to nacisk, że takie podkopywanie powagi tak ważnej władzy, jak policja, przynosi tylko szkodę wolności. W końcu powiada hr. Taaffe, iż uważa za jedno z największych swoich zadań, oto się postarać, aby nie było żadnych wyszczególnień, ani przy udzielaniu posad, ani przy rozdzielaniu załatwić się mających spraw, ani wreszcie podczas kierowania wyborami. Urzędnicy są dla całej ludności i mają ściśle według ustaw postępować. (Żywe oklaski z prawicy).

Pos. Vitezic uskarżał się na upośledzenie słowiańskiej ludności w Istrji. Poczem rozprawa została przerwaną.

Pos. Fürnkranz interpelował w sprawie ogłoszenia rezultatów z przedsięwziętych podróży dla badania sposobów zwalczania Phylloxery.

Wiedeń 13 marca. Na porannem posiedzeniu Izby posłów, przed uchwaleniem budżetu co do tytułu: policja państwowa, oświadczył pos. Eichorn, że na żądanie jego zaproszono Friemela do ankiety robotniczej w tym celu, aby i członkowi stronnictwa radykalnego dać sposobność do przemówienia. Tymczasem Friemel okazał się żydem-socjalistą.

Pos. Kronawetter odwoływał się na list Eichhorna wystosowany do Friemela, w którym mu tenże donosi, że wskutek prośby Eichhorna został do ankiety zaproszony.

Pos. Pernerstorfer zauważył, że Eichhorn starał się z pewnością o to, aby jeden z jego towarzyszy przyjętym został do ankiety; dowodem czego jest wezwanie, którem Eichhorn zaprosił robotników na zebranie, aby wtajemniczyć ich w chrześcijańsko-socjalne poglądy i nauczyć „białego katechizmu.“

Wiedeń 13 marca. *Fremdenblatt* pisze, że cyrkularz serbski notyfikujący objęcie steru przez nowy gabinet, doręczony w południe w ministerstwie spraw zagranicznych, zawiera dodatkowy ustęp odnoszący się do stosunków Serbji do Austro-Węgier i do osoby Najj. Pana. Ustęp ten opiewa: — „Szczególnie będzie się czuł rząd serbski szczęśliwym, jeżeli mu się uda utrzymać przyjaźne sąsiedzkie stosunki z Austro-Węgrami i zachować pozyskaną życzliwość ich Monarchy.“

Praga 13 marca. Najj. Pan ofiarował z prywatnej szkatuły 3000 zł. dla ubogich mieszkańców, „Gór czeskich.“

Berlin 13 marca. Antoine złożył mandat poselski do parlamentu niemieckiego.

Paryż 13 marca. Komisja izby wybrana dla rozstrzygania sprawy ligi patrjotów, postanowiła większością głosów 10, przeciw 1 wnieść, aby izba zezwoliła na ściganie przez rząd deputowanych Laguerre'go, Laisanta i Turqueta. Komisja jutro zda sprawę przed plenum Izby.

Przedpołudniem przedsięwzięła policja około sześćdziesięciu rewizyj domowych u przewódców ligi patrjotów, lecz, jak zapewniają, bez wszelkiego rezultatu.

Pogłoska, jakoby Déroulède został aresztowany, nie sprawdziła się dotąd.

Belgrad 13 marca. Wobec wieści donoszących o zamiarze eks-królowej Natalji powrócić do Serbji zapewniają stanowczo, że eks-królowa nie ma tego zamiaru.

Wiedeń 14 marca. W szkole fechtunkowej Hartla zdarzył się wczoraj wieczorem nieszczęśliwy wypadek, wywołany niezręcznością kupca Franciszka Friedmanna, syna zmarłego posła do Rady państwa. Franciszek Friedmann, fechtując się z rezerwowym oficerem i kupcem Ryszardem Schneiderem, wsadził mu w prawe oko pałasz, który je przebił i dostał się do mózgu. Schneider umarł natychmiast. Śledztwo zostało zarządzone.

Paryż 14 marca. Minister marynarki, admirał Jaures, umarł wskutek apopleksji.

Ateny 14 marca. Powstrzymano prace około kanału korynckiego.

Sztokholm 14 marca. Druga Izba odrzuciła przedłożenie dotyczące zaprowadzenia cła wywozowego na rudy żelazne.

Londyn 14 marca. Izba gmin odrzuciła w drugiem czytaniu większością głosów 259 przeciw 193 postawiony przez parnelistów wniosek, żądający lepszego traktowania tych uwięzionych, którzy zostali aresztowani na podstawie nowej ustawy represyjnej, mającej w Irlandji zapobiegać zbrodniom agraryjnym.

Sofja 13 marca. Przewodniczący izby powrócił z Belgradu i odjechał do Filipopola, aby zdać księciu sprawę z otrzymanych wrażeń.

Danicz wręczył Strańskiemu okólnik serbski podnoszący potrzebę utrzymania wzajemnych dobrych stosunków.

Passau 13 marca. Biskup Weckert umarł.

Paryż 14 marca. Według *Republique Française* rewizje domowe przedsięwzięte u członków ligi patrjotycznej, wykryły, że był przygotowany cały plan powstania na wielką skalę i że liga wypracowała ten plan aż do najdrobniejszych szczegółów.

Belgrad 14 marca. Pogłoski, podane przez dwa poranne pisma wiedeńskie o śmierci a nawet samobójstwie króla Milana, są zupełnie fałszywe. Król cieszy się najlepszem zdrowiem.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

dnia 14 marca 1889.

Hotel Żorża: St. hrabia Wiśniewski z Krystynopola. A. Przedrzymirski z Maćkowic. A. Trzecieski z Gorlic. W. Habicht z Gumnisk. J. Krischke z Ołomuńca. K. Bobowski z Rosji. J. Obertyński z Udnowa. A. Obertyński z Nowego Sioła.

Hotel Langa: J. Teodorowicz z Rusowa. St. Wilczek z Tarnopola. J. Poliński z Jasienicy. B. Tenzer z Witkowitz. H. Grenzer z Czerniowiec.

Z zbożowych targów.

14 marca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6·50—7 20	6 50—7 10	6 50 —7.05	6·85—7.40
Żyto	5.15—5 40	5.——5.3	5.——5.20	4.70—5.15
Jęczmień	5.50—6.75	5.50—6 50	5 20—6 50	5.——6.75
Owies	5.40—6.25	5.25—5 85	5.15—5 75	5.——5.50
Groch	6.— 10.50	6 — 10 —	6.— 10.—	4.40 9.—
Wyka	5.50 6 20	5 50 6 —	5.20 – 6 —	4.10—4,80
Rzepak	13.—13.60	12 80 13 10	12 70 13·40	10.—11.15
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konicz. czer.	50.—65·—	50 64 —	50 — 68 —	55.—48.—
Konicz. biała	50.—60.—	50 —60 —	48 – 59.—	31.—85.—
Konicz. szwed.	60.—75 —	—.——.—	—.——.—	—.—20 30

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Rzepak poszukiwany.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 24—48 nominalnie.
Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.
Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco —·— do —.—
Wiedeń 14 marca. Pszenica wiosn. 7 43 do 7 45 na Maj Czerwiec 7 60 do 7·62. na jesień 7 73 do 7 74. Żyto wios. 6·19 do 6 21 zł. na Maj-Czerwiec 6 28 do 6·30. zł. na jesień 6 30 do 6 32 Owies wios. 5 80 do 5·82 zł. na Maj-Czerwiec 5 90 do 5 92 zł. na jesień 5 95 do 5 97. Okowita 15 —— do 15 25—. **Peszt** 14 marca. Pszenica wios. 7 11 do 7 13 na jesień 7 42 do 7 44. Żyto —·— do —— Owies wios. 5·30 do 5 32. Okowita 14·50, do 14 75 **Berlin** 14 marca. Pszenica wios. 186·75 do —·—, jes. 186 00 do —·— Żyto wios. 150 — do —— na jes. 151·— do —·—. Owies wios. 139 75 do —·— jes. —·— do —.—. Okowita wios. 31 8. do —·— jes. 34.— do —·—.

Lwów. Z Izby handlowej 14 marca 1889.

1. Akcje za sztukę

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic Kar Lud 200 zł m k	203 50	206 75
„ lwow.-czer jass. 200 zł w a	27 75	231 —
Banku hip galic. 200 zł w a	89 —	93 —
„ kredyt. galic. 200 zł w a	— —	216 —
2 Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic. 5 prc. w n	100 10	101 10
6% Listy zastw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let.	— —	— —
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	103 15	104 15
Banku krajowego 4 ½% w. a.	7 —	8 —
Tow kred galic. 5 „ „ „	100 80	101 80
„ „ „ 4 „ „ „	96 —	97 —
„ „ „ 5 „ „ „	100 80	101 80
„ „ „ 4 „ „ „	93 25	4 50
„ „ „ 4 ½ „ „	97 80	8 80
„ „ „ 4 ½ „ „	92 25	3 50
3 Listy dłużne za 100 złr.		
G Z. kr. wł. ( ) 6% 3% w likw.	— —	57 50
„ „ „ „ (d) 5% 2½% „	— —	48 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 20	105 20
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	100 —	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc w. a.	104 —	106 —
„ „ „ 1883 4½% „	95 10	96 —
5 Losy		
Losy miasta Krakowa	22 50	24 50
„ „ Stanisławowa	33 —	35 —
6 Monety		
Dukat holenderski	5.64	5.74
Dukat cesarski	5.66	5.76
Napoleondor	9.60	9.70—
Półimperjał rosyjski	9.86	9.96
Rubel rosyjski srebrny	1·36	1·48
„ „ papierowy . . .	$1·28^1/_2$	$1·30^1/_2$
100 marek niemieckich	59 30	60·30

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 14 marca godz. 1. min. 45.

Akcje kredyt	303·—	Węg. kolej półn. wschodn.	178·25
Alpiny	63·—	Wiedeńskie losy kom.	145·25
Kredyty węg.	310·25	Akcje tyton.	114·50
Anglobanki	129·70	Gal. obl. indem.	104·50
Uniony	234·50	Elbethale	204·50
Ludwiki	204·75	Länderbanki	224·—
Nordbahny	254·—	Renta zł. węg.	101·55
Lombardy	101·50	Bankvereiny	109·25
Losy tureckie	22·75	Renta węg. pap.	94·30
Staatsbahny	246.—	Ruble	1·29·50
Czerniowieckie	228 50		

Usposobienie zgnębione.

C. k. jen. Dyrekcja kolei państwowych.
Wyciąg z rozkładu jazdy
ważnego od 1 października 1888.

Przybywają do Lwowa:

1. godz. 15 m. w nocy, z Budapesztu, Ławocznego. Stryja, Krosna, Chyrowa, Husiatyna. Stanisławowa, Stryja
8. godz. 6 m. zrana, z Suchej, Chyrowa i Stryja.
3 godz. 20 m. popołudniu, z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa, Stryja.
7 godz. 40 m. wieczór, z Husiatyna.

48)

OFIARA FATALIZMU.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépin.

(Ciąg dalszy).

— Tą też nadzieją ja żyję, kochany mój Marceli, bo gdyby Dianna miała kiedy pokochać innego i oddać mu swą rękę, czuję, że tego nie zdołałbym przeżyć!...

— Pozwól mi zadać sobie jedno pytanie..

— Jedno! dziesięć! sto!... ile tylko żądasz!..

— Wiesz jak szczęśliwym czyni mnie obecność twa tutaj... ale obecność ta, muszę ci wyznać, tyle niemal mnie dziwi co cieszy... Jak się to dzieje, że w podobnem usposobieniu serca i umysłu, w jakiem ty się obecnie znajdujesz, mogłeś przemódz na sobie, aby opuścić Prowancję, a przeto oddalać się od przedmiotu twej miłości? To dowodzi, jak mi się zdaje, siły nadludzkiej ducha, do której chyba zakochani, jak sądziłem dotąd, nie bywają zdolni...

Jerzy uśmiechnął się mimowolnie.

— A tej siły ducha, — odpowiedział, — i ja nie byłbym miał niezawodnie...

— Jednakże jesteś tu...

— Tak, ale jestem ponieważ ukochana moja jest teraz nieobecną w Prowancji...

— To rzecz wyjaśnia! — zauważył Marceli, uśmiechając się

— Tak, — podjął Jerzy, — jenerał i żona jego wraz z panną Dianną i Gontranem, kompletnie już wyleczonym z rany, opuścili zamek Presles w zeszłym tygodniu...

— Na jak długo?

— Nie wiem tego...

— A dokądże wyjechali?

— I tego nie wiem... Jenerał oznajmił mi swój odjazd z miną smutną i pognębioną. Widocznem było, że jakaś myśl ukryta nurtowała go i zasmucała podczas gdy ściskając mi rękę mówił: Kochany mój sąsiedzie, ku memu szczeremu żalowi, będziemy na przeciąg kilku miesięcy pozbawieni przyjemności widywania ciebie...“ Hrabina obecną była temu pożegnaniu i widziałem łzy w jej oczach... Pojmiesz, że nie śmiałem pytać jenerała dokąd wyjeżdżają. W tej chwili weszła Dianna. Była okropnie blada, wydawała się cierpiącą jakąś i dziwnie roztargnioną... Nazajutrz rano cała rodzina była już w drodze... Ja pozostałem sam w tej pustyni... Wtedy (a rumienię się, przyznając ci się do tego) naprawdę zabrałem się do szpiegowskiego rzemiosła... rozpytywałem służbę, pozostałą w zamku Presles, aby przez nich dowiedzieć się coś o powodach wyjazdu jenerała i o tem dokąd wyjechał... Chciałem biedz za niemi sercem, które zabierała mi z sobą Dianna... Upokarzające to szpiegostwo nie przyniosło żadnych rezultatów!... Służba nie wiedziała nic, albo też posłuszną była wyższym rozkazom... wszyscy odpowiedzieli mi, że równie jak ja nie wiedzą zupełnie nic o celu podróży państwa.. Przeżyłem tak z pięć czy sześć dni w okropnem zniechęceniu, w rozpaczy niemal, o której trudnoby mi było dać ci wyobrażenie; potem błysk rozsądku rozświecił nagle ciemności mej duszy.. Powiedziałem sobie: Prowancja w tej chwili jest nieznośną dla mnie, nie mogę w niej wyżyć... A więc opuszczę Prowancję!... Pojadę do Marcelego i u niego zaczerpnę rady i odwagi, których mi tak bardzo potrzeba.. Decyzja została natychmiast powzięta. Wydałem rozkaz memu kamerdynerowi, żeby natychmiast sam, osobiście przybył zawiadomić mnie do Algieru, gdyby wypadkiem, wielce mało prawdopodobnym coprawda, rodzina jenerała miała podczas mej nieobecności powrócić do zamku Presles. Nazajutrz siadłem na okręt i masz mnie... Teraz wiesz wszystko, kochany mój Marceli i znasz głębie mego serca tak jakbyś dokonał jego sekcji... Widzisz, że powiedziałem ci wszystko z bezwarunkową szczerością, która może zmniejszy w twych oczach zasługę mej wizyty nieco przymusowej.. Wierzaj mi jednak, że jeśli miłość zatrzymywała mnie gdzieindziej, przyjaźń najżywsza i najszczersza gnała mnie zawsze tutaj ku tobie!...

Kiedy tak mówił Jerzy, Marceli ujął obie jego ręce i uścisnął je gorąco; potem powiedział mu:

— Wszystko co zależnem będzie odemnie, abyś nie żałował, że tu przybyłeś, wierzaj mi, uczynię, kochany mój Jerzy...

Podczas rozmowy obu młodzieńców, podniosła się już była mgła od morza i niezliczone gwiazdy afrykańskiej nocy świeciły już na niebie pociemniałem nagłym zmrokiem.

Marceli i Jerzy weszli po rodzaju drabiny na taras blokhauzu i zasiedli obok siebie, po turecku na poduszkach z grubego płótna, napchanych owsianą słomą.

— Któż ośmieliłby się utrzymywać, — zawołał kapitan, śmiejąc się i zaciągając dymem z długiego cybucha, — kto ośmieliłby się utrzymywać, że francuscy żołnierze nie pojmują sybarytyzmu wschodniego życia? Oto poduszki, które zadałyby kłam temu parodoksowi w zupełności!

Z każdą minutą wzmagały się ciemności; w dali słychać było monotonny szum fal morskich, rozbijających się o piaski półwyspu Sidi-Ferruch.

Chwilami po przez przestrzenie dobiegał ucha złowieszczy krzyk szakala, wietrzącego trupy.

Na prawo i na lewo od blokhauzu rozlegały się miarowe kroki dwóch wart. Konie przybyłe z Jerzym biły kopytem w stajni, a fizyler Pacot pośpiewywał zcicha rodzinną piosnkę, czyszcząc z niemałą starannością mosiężną rękojeść szabli swego sierżanta.

Jerzy i Marceli słuchali w milczeniu tych odgłosów pustyni, pomięszanych z gwarem świata. Obaj pogrążeni byli w niemem marzeniu.

Serce jednego z nich przepełnione było miłością.

Serce drugiego przejęte było bólem i wyrzutami sumienia..

Marceli palił zwolna długą fajkę. Jerzy zapalił cygaro.

Nagle w bardzo nieznacznej odległości błysk podwójny rozświecił ciemności; podwójny huk wystrzału dał się słyszeć. W tym samym czasie u stóp blokhauzu rozległ się okrzyk głuchy, po którym natychmiast nastąpił łoskot upadającego ciała, a na tarasie cygaro Jerzego pobiegło w powietrze wyrwane nagle z ust jego.

Z dwóch arabskich kul, jedna położyła trupem żołnierza odbywającego wartę, druga trafiła w cygaro, którego płonący koniec posłużył prawdopodobnie za cel strzelcowi.

— Do broni!! — krzyknął zrywając się Marceli i rzucił się ku drabinie, prowadzącej z platformy do wnętrza budynku.

— Do broni! — powtórzyli żołnierze, strzelając całkiem bezpotrzebnie w kierunku skąd wyszły strzały.

Zapalono pochodnie przeszukano okolicę, ale wszystko nadaremnie

— A co! mój drogi, — ozwał się kapitan do Prowansalczyka, — teraz widzisz, że Beduini istnieją i że czasami są daleko bliżej nas, niżbyśmy przypuszczać mogli... Gdyby tak ten łotr był celował do ciebie wprost, a nie jak to było z profilu, miałbyś w tej chwili kulę w pośrodku czaszki i panna Dianna de Presles byłaby została wdową nie wyszedłszy zamąż jeszcze!...

Jerzy uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

XXII.

POGAWĘDKA.

Przy blasku pochodni wykopano rów szeroki w piasku, aby pochować ciało biednego żołnierza, którego położyła trupem kula Beduina, potem, ponieważ nawyknienie oswaja ludzi ze wszystkiem i zwolna na wszystko znieczula, nawet na widok śmierci, nikt już nie myślał o tej nowej ofierze okrucieństwa niewidzialnych wrogów.

Marceli wydał rozkaz, aby w jego pokoju postawiono drugie łóżko obozowe dla Jerzego i rozmowa rozpoczęta przez dwu przyjaciół na tarasie toczyła się w dalszym ciągu wewnątrz blokhauzu.

— Przyznaj, kochany mój Jerzy, — począł kapitan, ściskając dłoń przyjaciela, — przyznaj, że dla mnie byłoby to strasznie smutnem, gdybym zmuszony był patrzeć jak szybko i jak drogo płacisz twe odwiedziny, zaledwie przybywszy, miałeś już paść od kuli bandyty!...

— Przyznaję z całego serca! — odpowiedział, śmiejąc się młodzieniec, — i dodam, że i dla mnie byłaby to rzecz wcale niewesoła!...

Potem po upływie chwili, dodał:

— Ponieważ mówisz o bandytach, mam dla dla ciebie, wiesz, dobrą nowinę...

— Dla mnie?

— Tak!

— Wyznaję, że nie zgaduję zupełnie o jakiej to nowinie może być mowa i o jakich chcesz mi mówić bandytach...

— O tych, co podpalili willę Salbert i zamordowali barona Labardès...

Marceli pobladł okropnie.

Słowa Jerzego obudziły w nim nagle dwa wspomnienia straszliwie bolesne, dotknęły dwu ran krwawiących.

Zawołał żywo.

— A więc udało się wreszcie natrafić na ślad tych nędzników? dzień więc sprawiedliwości nadejdzie nareszcie?

— Ten dzień już nadszedł.

— Schwycono tych zbiegłych galerników?...

— I ich i ich wspólników... Wszyscy naraz wpadli w sieci...

— Jakże to?

— To szczególne i ciekawe, zobaczysz, i to dodaje wiary w Opatrzność Bożą, gdyby kto miał ochotę o niej wątpić! Wiesz, że po obu zajściach w ciągu nocy 10 maja, wszystkie brygady żandarmerji z całego departamentu zgromadziły się w Tulonie i za współudziałem bardzo czynnym żołnierzy załogi i wieśniaków okolicznych dniem i nocą czynili obławy... Ale daremnie zdwajano gorliwość, nie znajdowano nic, nic najzupełniej i pośród zabobonnego tłumu krążyły wieści, że tu nie miano do czynienia z łotrami z ciała i kości, ale chyba z wcielonymi demonami, a wieści te mimo swej niedorzeczności poczynały znajdować wiarę wśród ludzi...

C. d. n.

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.